Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

NR 32 (1235) ROK XXIV 9 SIERPNIA 1981 R. CENA 7 ZŁ

JERZY KATARASIŃSKI

zator

Podczas czerwcowej, przedzjazdowej wojewódzkiej konferencji partyjnej w Łodzi powiedziałem (a następnie, na początku lipca, napisałem to samo w „Odgłosach"), iż *wiele świadczy o tym, że zbliżamy się do skrzyżowania, które zadecyduje — czy z mniejszym lub większym trudem zaczniemy wreszcie wychodzić na prostą, czy też łagodniej, lub ostrzej — w wiraż prowadzący do pętli, do nawrotu, lub gorzej — w niewiadomą.*

A teraz siedzę przed telewizorem i widzę to swoje skrzyżowanie, które nagle się zmaterializowało. Skrzyżowanie Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Obraz zatrzymany, jakby na stop-klatce filmu, którego reżyser w tym właśnie momencie chce dać widzom czas na rozpoznanie wszystkich szczegółów, na zastanowienie się nad czymś, na refleksję. Albo też jak w kinie, kiedy zablokowany nagle zostanie projektor: jeśli nie ruszy, przegrzana taśma zacznie płonąć i, być może, nigdy już widownia nie dowie się, co miało być dalej.

Dalszy ciąg na str. 2

Widok ten musiał wywoływać skurcz serca...

Foto: R. Łucyszyn

Witold Kasperkiewicz

między anarcho–syndykalizmem a centralizmem biurokraty–cznym

1.

W procesie opracowywania koncepcji i założeń reformy gospodarczej uwidaczniają się zróżnicowane stanowiska w kwestii zakresu decentralizacji uprawnień decyzyjnych, które dotychczas skoncentrowane były głównie na szczeblu centralnej biurokracji. Dyskusje dotyczące kształtu reformy dają częstokroć asumpt do rozważań o fundamentalnych cechach gospodarki socjalistycznej, o sposobach interpretacji kanonów systemu socjalistycznego. Są to w gruncie rzeczy dyskusje o kapitalnym znaczeniu dla teorii i praktyki tego systemu, który zwłaszcza w Polsce podlega istotnym zmianom ewolucyjnym. Najistotniejszym elementem składowym tej wielowątkowej debaty jest problem pojmowania **istoty ogólnospołecznej własności środków produkcji i sposobów jej realizacji.**

Pretekstem do podniesienia tego problemu stały się emocje i kontrowersje, jakie wzbudził **projekt tzw. przedsiębiorstwa społecznego przygotowany przez przedstawicieli Sieci NSZZ „Solidarność"** wiodących zakładów pracy. Jest on swego rodzaju kontrpropozycją dla rządowych projektów ustaw o przedsiębiorstwie państwowym i samorządzie robotniczym. Orędownicy koncepcji przedsiębiorstwa społecznego domagają się wyłączenia przedsiębiorstwa spod administracji państwowej i przekazania mienia ogólnonarodowego załogom przedsiębiorstw. Najwyższym organem władzy w przedsiębiorstwie powinien być samorząd pracowniczy wyposażony we wszelkie uprawnienia, do wyboru dyrektora włącznie.

Dalszy ciąg na str. 3

pomnik miasta

PAWEŁ TOMASZEWSKI

„W związku z ukazaniem się w Dzienniku Łódzkim artykułu pt. „Twórcy 81 — Odsłonięcie Pomnika-Kamienicy" w dniu 7 maja br., my mieszkańcy tej kamienicy pragniemy wyrazić nasze uznanie i podziękowanie autorom tego pomysłu. Kamienica nasza rzeczywiście oddaje dużo piękna architektonicznego starej ulicy Piotrkowskiej. Wnętrza naszej kamienicy mają również dużo ciekawych elementów ozdobnych, które warte są opublikowania. Np. klatki schodowe: odrapane mokre ściany. Odstające wyrwy tynku w każdej chwili grożą obsunięciem kawałem ściany. Gdzieniegdzie pokazują się piękne szczeliny. Przegnite tynki ściany odpadają kawałami. Są również grzyby, ładne — ale niejadalne.

Zakład Energetyczny, aby uprzyjemnić nam zamieszkiwanie, w lutym 1980 r. odłączył nam dopływ gazu. Podobno z braku wentylacji, co jest nieprawdą. Z braku węgla korzystamy więc z prądu. Gotujemy posiłki na małych maszynkach. Mieszkania ogrzewamy tzw. słoneczkami elektrycznymi. Piece węglowo-kaflowe są, ale nie wszystkie nadają się do tego, do czego są przeznaczone.

Szanowny Panie Redaktorze, żałujemy bardzo, że przed napisaniem tego artykułu nie zajrzał Pan do wnętrza naszej oficyny. Wówczas może opisałby Pan szerzej ten „Nowotwór pozornej nowoczesności" jak określiła to grupa asystentów i studentów architektury Politechniki Łódzkiej. Autorom tego pięknego pomysłu serdecznie dziękujemy. Natomiast Pana Redaktora prosimy bardzo o opublikowanie naszego listu. Może znajdzie się jakiś inwestor, który wyremontuje naszą kamienicę. Wówczas stanie się naprawdę czystym i pięknym Pomnikiem Kamienicy naszej kochanej Łodzi. Mieszkańcy Pomnika-Kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 164.
Łódź, dnia 11.V.1981 r."

(Pod listem — dwadzieścia dwa podpisy).

Dalszy ciąg na str. 4

KETMAN albo rzeczywistość zastępcza

Tadeusz Błażejewski

1

Czesław Miłosz znalazł w książce Gobineau „Religions et Philosophies dans l'Asie Centrale" opis pewnego charakterystycznego dla cywilizacji islamu zjawiska, obdarzonego nazwą „Ketman". W największym skrócie istotę jego tak określił: *posiadacz prawdy nie powinien wystawiać swojej osoby, swego majątku i swego poważania na zaślepienie, szaleństwo i złośliwość...* Inaczej i konkretniej mówiąc Ketman polega przede wszystkim na umiejętnym aktorstwie dnia codziennego, na zatajaniu — jeśli to możliwe — swoich rzeczywistych przekonań, myśli i poglądów z różnych powodów: ze zwykłej ostrożności, asekuracji, autocenzury.

Jak pisze Miłosz może być Ketman uprawiany na różne sposoby i w różnych sytuacjach. Również w wyższych rejonach społecznej świadomości, jaką jest bez wątpienia literatura.

2

W rozważaniach etycznych najczęściej posługujemy się tradycyjną triadą: sytuacja życiowa — indywidualna decyzja etyczna — odpowiedzialność. Spróbujmy na doraźny użytek posłużyć się skonstruowanym według powyższego wzorca układem: polityka — etyka — literatura. Oznaczać to będzie, iż niektóre utwory literackie potraktowane zostaną jako swoista funkcja polityki i etyki, jako próba rozumienia i rozliczenia pewnych postaw, spotykanych wśród przedstawicieli władzy.

W zasadzie literatura wyodrębniła taki gatunek. Mowa o powieści politycznej, powieści ukazującej — najogólniej mówiąc — mechanizmy i sposoby funkcjonowania władzy oraz indywidualne, jeśli można się tak wyrazić skutki jej sprawowania. Zapewne dla trafności i wnikliwości ocen potrzebny jest dystans czasowy, niemniej jednak istotne atuty

Dalszy ciąg na str. 9

Marek Miller

JOHN ZŁOTA RYBKA

Jeżeli naprawdę poznasz jednego człowieka, to poznasz i kraj, w którym żyje. Ten nazywa się *John Lundströmm*, ma 62 lata i wyglądem przypomina kropelkę wody. Ale to tylko z powodu gigantycznego brzucha, jaki nosi przed sobą. Cała reszta jest już najzupełniej oryginalna. Na krótko ostrzyżonej głowie nosi ciemny beret, uformowany na prawe ucho. Twarz z małym, zgrabnym nosem, okala mu rudo-siwo-czarna krzaczasta broda. Kiedy zaciska wargi, wąsy łączą się z brodą w jedną płaszczyznę szczeciny. Wygląda wtedy jak bóbr. Krótką szyję, która zaczyna ową kroplę wody, okala mu długi, czerwony szal, którego końcówki zwisają z brzucha. Dodać do tego należy jeszcze duże, kształtne uszy i będziemy mieć całego *Johna*. Ta całość mierzona wzwyż nie przekracza 160 cm. Po to opisuję to wszystko, co jest *Johnem*, tak szczegółowo, gdyż jest to jednocześnie jego wizytówką, jego znakiem reklamowym, widniejącym na okładkach kolorowych magazynów, na okładkach długogrających płyt i na plakatach. Jest to również kostium, w którym wytępuje przed publicznością, a także wyraz jego poglądów politycznych. Już od 14 lat wygląda ciągle tak samo. Gdyby teraz coś zmienił, to ludzie mieliby mu to za złe. Czy można sobie wyobrazić *Manneken Pisa* nie siusiającego?

Kim jest zatem *John*? Najkrócej można powiedzieć, że jest on maskotką Antwerpii, ostatnim odchodzącym, jej bardem, człowiekiem niezwykle popularnym. Trudno byłoby tę postać porównać do jakiejkolwiek w Polsce. Może do *Stępowskiego*. Może, gdyby ten grał na kilku instrumentach, śpiewał dla rodzących w szpitalu kobiet (uczy ich piosenek dla dzieci, żeby dały im piękny głos), dla starców w przytułkach, dla strajkujących robotników i dla młodzieży, która nie chce pójść do wojska. Może, gdyby śpiewał na ulicy, oprowadzając wycieczki, gdyby uczył dzieci malowania i muzykowania, gdyby opowiadał im przez radio bajki, które sam wymyśla. Może, gdyby pisał wiersze i słowa piosenek, gdyby stworzył muzykę do sześciu sztuk teatralnych i gdyby był grafikiem. I gdyby w końcu Warszawa była dużym, pełnomorskim portem, bo *John*, chociaż nigdy nie był na wodzie, ma duszę marynarza.

Jego matka prowadziła, no powiedzmy to sobie, dom dla marynarzy, pod nazwą *„Stara Norwegia"*. Jego ojciec pływał po całym świecie, a kiedy wracał, zabierał Johna na długie spacery i gdzie opowiadał o tym, wszystkim, co widział. Mały John zaczął wcześnie życiową edukację. *„Najgorzej było wtedy, gdy marynarze wracali z długich rejsów. Mieli wówczas mnóstwo pieniędzy i każdy z nich mógł sobie kupić dziewczynę na kilka dni. Nie wychodzili wówczas z łóżek, a ja nosiłem im na górę posiłki. Dostawałem za to duże napiwki. Gdy kończyły się*

Dalszy ciąg na str. 7

MAREK PRYT

dokąd panie magistrze?

Jak już wielokrotnie informowała prasa codzienna, w związku z przemianami zachodzącymi obecnie w życiu społeczno-gospodarczym kraju, przygotowany został projekt nowelizacji kodeksu pracy. Przewiduje on, niezależnie od wielu innych zmian, uchylenie obowiązującej od 1964 roku, a obecnie krytykowanej przez zainteresowane środowisko, ustawy o zatrudnianiu absolwentów szkół wyższych.

ŹRÓDŁA NIEZADOWOLENIA

Wspomniana ustawa nie jest aprobowana przede wszystkim przez jednostki gospodarcze zmuszane obligatoryjnymi planami do rezerwowania miejsc pracy dla absolwentów i zatrudniania ich przez okres przynajmniej trzech lat. **Staje to w wyraźnej sprzeczności z uzyskiwaną obecnie przez przedsiębiorstwa samodzielnością** w kształtowaniu poziomu i struktury zatrudnienia, z odchodzeniem od kierowania nimi metodami administracyjnego nakazu.

Egzekwowanie przepisów ustawy jest uciążliwe dla służb zatrudnienia administracji państwowej. Niewdzięczne jest szczególnie „upychanie" absolwentów w zakładach pracy i kontrola wypełniania przez nich obowiązku zatrudnienia. Wiąże się to z prowadzeniem absorbujących czynności formalno-prawnych, rozstrzyganiem częstych sporów między absolwentami a pracodawcami, występowaniem o zwrot kosztów wykształcenia wobec osób uchylających się od pracy.

Funkcjonowanie ustawy sprawia również pewien kłopot resortowi szkolnictwa wyższego. Logika założeń tego aktu prawnego zakłada bowiem, że pełne i racjonalne zatrudnienie absolwentów dokonywuje się w następstwie kształcenia zgodnego

Dalszy ciąg na str. 5

ZATOR

Dalszy ciąg ze str. 1

Wolę, rzecz jasna, wersję stop-klatki. A jeszcze lepiej by było, gdyby dało się (są ponoć takie kina na świecie) wypróbować kilka wersji dalszego ciągu. Oto przekręcamy jakąś gałkę i rzeka samochodów rusza, przejeżdża rondo, kieruje się na wprost, dalej w Marszałkowską. Akcja rozwija się bez zgrzytów, bez dramatycznych spięć; ale film nudny — ktoś mówi. Gałka w inną stronę. Samochody przez rondo w lewo, w Aleje Jerozolimskie i dalej, w prawo w Nowy Świat przed gmachem KC. Widzowie wstrzymują oddech. Spokój? — niech rzeka płynie dalej. Któremuś z aktorów, czy statystów puszczają nerwy? Stop, stop! Cofamy projektor — znów na skrzyżowanie. I tak, aż do skutku, aż trafimy na akcję z happy-endem...

Na taki luksus, niestety, nie możemy sobie pozwolić. W długim spisie licencji, jakie zakupiliśmy, ta się nie znalazła. Film, który oglądamy, jednocześnie w nim uczestnicząc, kręci kilku reżyserów — i albo nie umieją się dogadać z sobą, albo też chcą realizować różne scenariusze. Stąd też to poczucie, że mimo naszego współuczestnictwa, wszystko rozgrywa się poza nami, dlatego tak trudno wpłynąć na to, co będzie grane za chwilę, dlatego nie sposób odgadnąć finału. Bardzo denerwujący film. Kręcony bez dubli, bez możliwości montażu, w jednym, długim ujęciu.

2.

Akty pierwsze, wśród nich i łódzki, przebiegały spokojniej. Oczywiście, łatwo to pisać teraz, kiedy już minął poprzedni tydzień, kiedy wiemy, że nie została wybita, ani nawet wygnieciona ani jedna szyba, że ręce trzymali ludzie przy sobie, a organizatorom nie przyszedł do głowy przejazd, czy też przemarsz alejami Kościuszki.

Były tu, w Łodzi, szczególne powody do okazania niezadowolenia ze zmniejszonych kartkowych racji żywnościowych, z niesprawności całego systemu kartkowego, z panoszącej się spekulacji. Miasto pracujących kobiet — żon, matek — którym do dwu etatów, fabrycznego i domowego, doszedł trzeci — kolejkowy, straciło przy „równym" w skali kraju podziale żywności, połowę swych poprzednich przydziałów mięsa. (Notabene, skoro tak często mówi się o społecznej konsultacji, warto tu przypomnieć, że taka zasada równego rozdziału była społecznie konsultowana i zaakceptowana...). A ponieważ na dodatek wielka ta aglomeracja nie ma po podziale administracyjnym swego naturalnego zaplecza żywieniowego, niedobory stały się drastyczniejsze niż gdzie indziej. Nie rozwijam tych wątków — każdy, kto choćby trochę poznał to miasto, dośpiewa sobie resztę.

Manifestacje łódzkie przygotowane były jednak wzorowo (jeśli w ogóle określenie to jest w tym wypadku stosowne). Demontracje ludności poprzedzone zostały dyscyplinującymi przejazdami niewielkich kolumn samochodów. Z góry znane były, i uznane, ich przebieg i trasy; „Solidarność" zawarła swoiste gentleman agreement ze służbami porządku publicznego, starając się wyeliminować możliwe przykre niespodzianki. Nie znaczy to oczywiście, że nie istniały żadne niebezpieczeństwa — ulica jest ulicą i wszystko może się zdarzyć. Na szczęście nie zdarzyło się nic. Nic bezpośrednio groźnego.

Nie znaczy to też, że manifestacje te, zwłaszcza ostatnia, czwartkowa (30 lipca), zapowiadana jako marsz kobiet, pozbawione były elementów dramatyzmu. Już sam widok masy ludzi idących pod hasłami wymierzonymi w swoją — ludową przecież władzę, musiał wywoływać skurcz serca. To też powodowało, że trudno było się w takim momencie zdobyć na chłodniejszą nieco refleksję — że niektóre hasła, zwłaszcza te mówiące o głodzie, o braku chleba, są wyrazem emocjonalnej raczej, niż rzeczowej oceny sytuacji, że bardziej są przestrogą przed jutrem, niż oceną stanu dzisiejszego. To fakt, że środki do życia, nawet te podstawowe, zdobywać musimy z niemałym trudem, z olbrzymim naddatkiem energii; jak na razie jednak nie tyle głodujemy, co nie dojadamy. Już to jest wystarczająco smutne, już to może być, i jest, powodem społecznego stressu.

Akcje takie jednak jak ta, rządzą się swoimi prawami, do których trudno przymierzać, zwłaszcza jeśli się jest w ich środku — jak uczestnicy marszów — kryteria racjonalizmu, obiektywizmu. Brak poprawy w warunkach życia w trakcie mijającego właśnie od Sierpnia roku; przeciwnie — spadek stopy życiowej i niespełnione — jak dotąd — nadzieje na nierychłą, ale choćby stopniową poprawę sytuacji, wszystko to wywołuje poczucie bezsilności i chęć jego przezwyciężenia za wszelką cenę. Stąd odruchy i reakcje na pierwszy rzut oka irracjonalne, stąd przesada i jaskrawa emocjonalność haseł, stąd — bywa — i niesprawiedliwość w adresie buntu, gorączkowe poszukiwanie winnych.

Takie jest, jak mi się wydaje, psychospołeczne, poniekąd obiektywnie uzasadnione, a więc dające się zracjonalizować przy poszukiwaniu powiązań między przyczyną i skutkiem, skutkiem i przyczyną, tło społecznego buntu. W podobnych przypadkach, jak wskazuje na to historia wielu ruchów społecznych, zawsze następowało przejaskrawienie motywacji i reakcji, emocje brały górę nad trzeźwym, zdroworozsądkowym spojrzeniem, a posłuch zdobywali ci, którzy przedstawiali program nieskomplikowany, proponowali działania szybkie i spektakularne, pozwalające choćby na chwilę zyskać poczucie wartości i siły. Owo poczucie wartości i siły przy jednoczesnym poczuciu krzywdy, wyzwala agresję.

3.

Kolejny akt — Warszawa.

Rzecznik prasowy NSZZ „Solidarność" Region Mazowsze informuje, że 3 bm. w Warszawie został powstrzymany przez władze porządkowe przejazd przez miasto wozów stołecznych przedsiębiorstw transportowych. Przejazd był zorganizowany przez Zarząd NSZZ „Solidarność" Region Mazowsze jako protest przeciw obniżaniu racji żywnościowych. *Mimo uzgodnienia trasy przejazdu z władzami miejskimi, oddziały MO zatarasowały drogę w chwili, gdy druga część pochodu zgodnie z planem skierowała się w stronę gmachu KC PZPR.* Uczestnicy pochodu zdecydowani są go kontynuować.

Z oświadczenia rzecznika prasowego Urzędu Miasta Warszawy:

„Twierdzenia organizatorów manifestacji, iż proponowana przez nich trasa była akceptowana przez władze miasta nie są prawdziwe. W tej sytuacji odpowiedzialność za uciążliwości powstałe w funkcjonowaniu miasta spada na organizatorów akcji".

Jest noc z wtorku na środę, z 4 na 5 lipca. Skrzyżowanie w centrum Polski nadal zablokowane. Zator. Długa jest ta stop-klatka. Szykują się strajki, o czym donosi radio.

Także w radiu informacja o posiedzeniu Prezydium Rządu. *Premier Wojciech Jaruzelski powołał w ramach Komitetu Gospodarczego Rady Ministrów operacyjny sztab antykryzysowy pod przewodnictwem wicepremiera Janusza Obodowskiego. W skład sztabu wchodzą ministrowie podstawowych resortów, przewodniczący Państwowej Komisji Cen oraz przedstawiciele Ministerstw Obrony Narodowej i Spraw Wewnętrznych. Do zadań tego nadzwyczajnego organu rządu będzie należeć między innymi zapewnienie środków niezbędnych społeczeństwu dla przetrwania ostrego kryzysu gospodarczego oraz warunków funkcjonowania infrastruktury gospodarczej i obronnej. Premier powołał także, pod przewodnictwem wicepremiera Stanisława Macha, Nadzwyczajną Komisję do Walki ze Spekulacją. Zalecił również powołanie odpowiednich komisji na szczeblu wojewódzkim i miejskim. Będą one stosować wszelkie środki w ramach obowiązującego prawa. W celu zwiększenia ich kompetencji, a w szczególności surowości stosowanych rygorów, w tym w stosunku do elementu pasożytniczego, zostanie opracowany projekt odpowiedniej ustawy i wniesiony w trybie pilnym do Sejmu.*

A więc coś się ruszyło, coś drgnęło. Akcja wywołała reakcję. Czy o to chodziło?

W dalszym ciągu dziennika radiowego komunikat rzecznika prasowego KKP NSZZ „Solidarność" na temat poniedziałkowych rozmów między rządem a „Solidarnością", po czym riposta rzecznika prasowego rządu. Ostre kontrowersje. Nie zanosi się na to, aby czwartkowe rozmowy przebiegały w harmonii.

Znów niepokój. Jaki obrót przybierze akcja? Czy obie strony skłonne są do kompromisu? Potyczka rzeczników prasowych nie wskazuje na to.

JERZY KATARASIŃSKI

Były tu, w Łodzi, szczególne powody do okazania niezadowolenia ze zmniejszonych kartkowych racji żywnościowych.

Foto: R. Łucyszyn

TYDZIEŃ W POLITYCE

Pierwotnie zakładane na znacznie krótszy okres **madryckie spotkanie** przedstawicieli państw, uczestniczących w KWBE, **nie zakończyło dotąd swych prac.** 28 lipca postanowiono odroczyć dalsze obrady do 27 października. Szefowie delegacji 35 państw Europy, USA i Kanady złożyli krótkie oświadczenia, z których wynika, iż **nadal utrzymują się głębokie rozbieżności** między stanowiskiem Wschodu i Zachodu. Czy czas przerwy je zmniejszy? Jest to niezbędne, jeśli konferencja ma przynieść porozumienie. Październikowa runda będzie ostatnią szansą dla uzgodnień w sprawie dokumentu końcowego. Nikt nie wyobraża sobie przedłużenia się rozmów do przyszłego roku. Kanclerz Schmidt wyraził nawet jednoznaczny optymizm co do „zadowalającego zakończenia", dodając, iż tę nadzieję czerpie z dotychczasowych prac delegatów nad zredagowaniem „treściwego i wyważonego dokumentu końcowego", w którym musi się znaleźć postanowienie zwołania europejskiej konferencji rozbrojeniowej.

Niestety, optymizm kanclerza RFN nie jest dostatecznie uzasadniony właśnie przebiegiem dotychczasowych prac. W dalszym ciągu stanowiska są dość odległe. Oczywiście można, a nawet trzeba wierzyć, że porozumienie zostanie osiągnięte. Tematyka KBWE jest przecież **istotną dziedziną całości stosunków Wschód — Zachód** i niepowodzenie madryckiego spotkania ciążyłoby bardzo na ich dalszym kształcie.

W ostatnich dniach obiegły prasę informacje o kolejnych, już trzecich, konsultacjach USA z ich europejskimi sojusznikami na temat militarnych aspektów rokowań między Stanami Zjednoczonymi na Związkiem Radzieckim. Jeśli wierzyć doniesieniom zachodnich agencji — konsultacje są już **tak zaawansowane, iż umożliwiają podjęcie rokowań w połowie listopada.** Zwraca się uwagę, iż to stwierdzenie zdejmuje podejrzenia z Waszyngtonu, że chciałby dalej odwlekać rozpoczęcie dialogu ze Związkiem Radzieckim. — Zachodnia Europa — powiedzieli wyżsi urzędnicy amerykańscy — ciągle nas o to posądza.

Tymczasem minister obrony USA — C. Weinberger stwierdził, iż jego kraj byłby bardzo zadowolony, gdyby przyszłe rokowania prowadziły do rzeczywistego ograniczenia broni nuklearnej i umożliwiały Stanom Zjednoczonym utrzymywanie równowagi odstraszenia na niższym poziomie. Zaraz jednak dodał, że koszty dalszej budowy amerykańskiego potencjału nuklearnego i konwencjonalnego będą wynosić w ciągu najbliższych pięciu lat 1.460 mld dolarów i w roku 1985 pochłaniać będą 6,8 proc. dochodu narodowego brutto. Jest to wysoki wzrost. Jak więc pogodzić gotowość utrzymywania zbrojeń na niższym poziomie z szybkim dozbrajaniem się?

Zmieniamy teraz temat. Jak Czytelnikom już zapewne wiadomo — w wyborach prezydenckich w Iranie **zwyciężył dotychczasowy premier,** popierany przez rządzącą Partię Republiki Islamskiej, **Mohammed Ali Radżai.** Fakt ten umacnia system teokratyczny, tym bardziej, że jednym z dwóch kandydatów na szefa rządu jest przywódca wspomnianej partii — duchowny szyicki, Mohammed Dżavad Bahonar.

Iran jest w stanie wewnętrznego wrzenia. Nigdy jeszcze od czasu rewolucji władze nie miały do czynienia z **tak potężną falą opozycji,** która coraz częściej ucieka się do aktów przemocy. Tylko w dniu wyborów prezydenckich zginęło z rąk zamachowców 13 osób. Pisze się, że montowana jest w porozumieniu ze zbiegłym Bani-Sandrem „narodowa rada oporu" i że działają zakonspirowane radiostacje. Narastają także trudności gospodarcze. Czy nowy prezydent opanuje sytuację i wymusi bezwzględne posłuszeństwo dla zasad islamu? Te pytania powtarzają się najczęściej w komentarzach zachodnich.

I na zakończenie przeglądu wydarzeń jeszcze nieco o zachodnich echach wydarzeń w Polsce.

Wiele tytułów prasowych odnotowało **wzrost społecznej niecierpliwości** z powodu bardzo trudnej sytuacji zaopatrzeniowej. Dość szeroko pisano o łódzkim marszu kobiet z ub. tygodnia. O naszym kryzysie gospodarczym wyraziły opinie m.in.:

„DIE ZEIT": **„Polska znajduje się w diabelskim kręgu. Niedostateczne zaopatrzenie, zmniejszona produkcja, braki finansowe, duże długi, niechętni do pracy ludzie, zatrzymane fabryki, a także załamany system transportowy. 40 proc. budżetu przeznacza się na wszelkiego rodzaju subwencje...**

W każdym razie Polska musi teraz własnymi siłami przełamać ów diabelski krąg..."

„SCHWABISCHE ZEITUNG": **„Każdy Polak zdaje sobie sprawę, że podwyżka cen i zmniejszenie przydziałów artykułów codziennego użytku oraz dodatkowy wysiłek w pracy są nieuniknione".**

„FOLHA DE SAO PAULO": **„Kryzys wybuchł dlatego, że po okresie cudu gospodarczego z początku dekady, w atmosferze euforii zaciągano nowe długi, podejmowano przesadne i źle zaplanowane inwestycje, rozwijano przesadny system subwencji... Teraz tylko rosnące formy socjalistyczne, projektowana samorządność... mogą stać się podstawowym środkiem rozwiązania problemów".**

Czy trzeba te opinie komentować?

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD KUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, MAREK MILLER, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

MIĘDZY ANARCHOSYNDYKALIZMEM A CENTRALIZMEM BIUROKRATYCZNYM

Dalszy ciąg ze str. 1

Organa państwowe mają w myśl tego projektu prawo do oddziaływania na przedsiębiorstwo tylko przy pomocy instrumentów ekonomicznych oraz mogą ingerować w wewnętrzne sprawy przedsiębiorstwa, ale tylko poprzez ustawy sejmowe. Wszelkie sprawy między organami państwowymi a przedsiębiorstwami rozstrzygać powinien niezawisły sąd.

Adwersarze idei przedsiębiorstwa społecznego twierdzą, iż jej realizacja grozi przekształceniem własności ogólnospołecznej w grupową. Jest to w ich przekonaniu sprzeczne z zapisem konstytucyjnym (art. 13), który stanowi, że „załogi przedsiębiorstw uczestniczą w zarządzaniu przedsiębiorstw uczestniczą w zarządzaniu przedsiębiorstwami". A więc zgodnie z literą Konstytucji PRL uczestnictwo załogi w zarządzaniu nie jest równoznaczne z przejęciem pełni władzy w przedsiębiorstwie przez załogę i jej organa. W związku z tym państwo musi mieć zagwarantowany wpływ na działalność przedsiębiorstw, co wyraża się między innymi w sposobie powoływania dyrektora, który powinien być przedstawicielem państwa w przedsiębiorstwie, a nie bez reszty podporządkowanym samorządowi najemnym urzędnikiem.

W celu rozwiązania wątpliwości narosłych wokół projektu przedsiębiorstwa społecznego i klarownego wyjaśnienia istoty własności ogólnospołecznej warto odwołać się do twórców teorii ekonomii politycznej socjalizmu. Należy do nich **Oskar Lange,** znakomity ekonomista i wybitny działacz społeczny, szermierz reformy gospodarczej po przełomie październikowym roku 1956, zwolennik idei samorządności robotniczej; człowiek, któremu obcy był dogmatyzm w uprawianiu ekonomii marksistowskiej. Wprawdzie przeżywamy becnie okres, w którym panuje moda na obalenie autorytetów w wielu dziedzinach nauk społecznych i krzewią się liczne eklektyczne teoryjki ładu ekonomicznego w Polsce, to jednak wydaje się, iż poglądy O. Langego posiadają moc wyjątkową, jakiś constans pozwalający im przetrwać kolejne zakręty w rozwoju myśli ekonomicznej socjalizmu.

Zgodnie z duchem marksizmu O. Lange interpretuje własność środków produkcji jako stosunek społeczny, na którym opiera się skomplikowany system stosunków międzyludzkich, rodzących się w społecznym procesie produkcji. Własność ta rozstrzyga bowiem o sposobie ich używania, a tym samym wyznacza możliwość kooperacji i podziału pracy. Ponadto własność środków produkcji decyduje również o własności produktów, a tym samym także o podziale produktów.

O. Lange stworzył podwaliny teoretyczne gospodarki socjalistycznej już w latach trzydziestych tego stulecia. W opublikowanym w 1938 r. artykule pt. „Istota socjalizmu" („Akademik — Socjalista" grudzień 1938, W-wa, nr 4) przedstawił zasadnicze elementy ustroju socjalistycznego, które określił mianem postulatów socjalizmu. Należą do nich dwa najważniejsze postulaty:

— uspołecznienie środków produkcji i społeczna organizacja pracy,

— użytkowanie tych środków w interesie i pod kontrolą szerokich mas ludności, a nie uprzywilejowanej mniejszości.

W przekonaniu O. Langego pierwszy postulat jest tylko środkiem do osiągnięcia drugiego. **Samo uspołecznienie środków produkcji i społeczna organizacja pracy bynajmniej nie uchronią społeczeństwa przed wykorzystywaniem sił produkcyjnych w interesie uprzywilejowanej biurokracji państwowej.** Dlatego też drugi postulat jest najistotniejszy, gdyż zapowiada uspołecznienie środków produkcji w celu użycia ich dla dobra całego społeczeństwa, a nie elity władzy.

Będąc z zasady wielkim realistą **O. Lange dostrzegał potrzebę istnienia grupowej własności w socjaliźmie np. spółdzielczości.** Ten realizm był jednak integralnie powiązany z pryncypialnością, która wyrażała się w tym, że uznawał on przodującą rolę „ogólnospołecznej państwowej własności" w budowie socjalizmu. Natomiast **własności grupowej przypisywał ograniczony zakres funkcjonowania.** Znajduje to potwierdzenie w tezie, którą sformułował w 1958 r. w artykule „Rola spółdzielczości w budowie socjalizmu" („Przegląd Spółdzielczy" 1958 r. z. 4). Teza ta brzmi następująco: jeżeli gospodarowanie ma mieć charakter socjalistyczny, nie może być gospodarowaniem tylko dla zaspokojenia potrzeb grupy właścicieli spółdzielczych — może kosztem reszty społeczeństwa — ale **musi być gospodarowaniem odpowiadającym interesom całego społeczeństwa, niejako w powiernictwie ogólnospołecznego interesu.**

Istotne znaczenie dla wyjaśnienia sporu zaistniałego wokół koncepcji przedsiębiorstwa społecznego mają poglądy O. Langego w kwestii istoty i roli przedsiębiorstwa socjalistycznego. Na szczególne podkreślenie zasługuje ukute przez niego syntetyczne określenie przedsiębiorstwa socjalistycznego, rozumianego jako zespół pracowników, którym powierza się własność ogólnospołeczną w celu wykonywania pewnych społecznych zadań, takich jak: produkcja, usługi, obrót itp. W miarę postępującego dojrzewania socjalistycznego społeczeństwa pracownicy ci działają — zdaniem O. Langego — na zasadach samorządu, wzrasta ich bezpośredni wpływ na zarządzanie własnością ogólnospołeczną. **Zyskując bezpośredni wpływ na zarządzanie przedsiębiorstwem załogi robotnicze są bardziej zainteresowane materialnie w wynikach gospodarowania powierzoną im cząstką tej własności.**

O. Lange częstokroć zwracał baczną uwagę na wypaczenia, które mogą występować i występują w dziedzinie gospodarowania własnością ogólnospołeczną, jak i własnością spółdzielczą. Wyróżniał możliwe dwa wypaczenia:

— wypaczenie biurokratycznego centralizmu i

— wypaczenie wynikające z własności grupowej.

Wypaczenie pierwszego typu zrodziło się z konieczności wysokiej centralizacji w kierowaniu i zarządzaniu gospodarką obowiązującej w okresie socjalistycznej industralizacji (lata 50). Nieszczęściem naszego systemu było to, iż centralistyczny styl zarządzania utrwalił się i funkcjonował także po zakończeniu procesu industrializacji. Biurokratyczno-centralistyczne wypaczenie spowodowało wiele negatywnych konsekwencji wyrażających się przede wszystkim w postaci likwidowania samorządu spółdzielczego oraz **braku demokratycznej kontroli nad gospodarką,** a zwłaszcza nad gospodarką przedsiębiorstw. Wskutek tego, wynaturzeniu uległ socjalistyczny charakter społecznej własności środków produkcji, czego dowodem był **znikomy i fasadowy w swym wyrazie wpływ mas pracujących na gospodarowanie majątkiem produkcyjnym.**

Wypaczenie wynikające z grupowej własności polega — w mniemaniu O. Langego — **na dążeniu do przekształcenia państwowych przedsiębiorstw socjalistycznych w grupową własność załóg tych przedsiębiorstw.** Nazywa to wypaczeniem anarchosyndykalistycznym. Może ono powstać w sektorze państwowym wówczas, kiedy zasadę samorządu robotniczego interpretuje się jako zasadę prowadzącą w rezultacie do przekazania przedsiębiorstwa na własność grupową załogi. W ten sposób — jak dowodzi O. Lange — przedsiębiorstwo przestaje działać jako powiernik ogólnospołecznych interesów, a działa jako grupowy, samodzielny właściciel. **Nie ma wówczas możliwości ogólnego planowania i centralnego kierowania gospodarką narodową.**

Problem wypaczenia anarchosyndykalistycznego wystąpił już w okresie rewolucji rosyjskiej. Powstała wówczas tak zwana opozycja robotnicza, która żądała przekazania fabryk w ręce kolektywów robotniczych. Ze stanowiskiem tym polemizował **W. Lenin,** który wyznawał pogląd, iż **bezpośredni wpływ robotników na zarządzanie nie może naruszać ogólnonarodowego charakteru własności środków produkcji.**

W pełni prawdziwie i przekonywająco brzmią, zwłaszcza dziś, sądy wygłoszone przez **O. Langego** w okresie po 1956 roku. Twierdził, że **w toku walki przeciwko biurokratycznemu wypaczeniu odradzają się idee typu anarchosyndykalistycznego.** Zarazem jednak **daleki był od fetyszyzowania wypaczenia wynikającego z własności grupowej** podkreślając, że zostało ono w okresie burzliwych przemian październikowych przezwyciężone.

Wyrażona przez **O. Langego** negacja koncepcji anachrosyndykalistycznych **nie oznacza, iż był przeciwnikiem idei samodzielności i samorządności przedsiębiorstwa socjalistycznego.** Wręcz przeciwnie, jako twórca projektu reformy gospodarczej po 1956 r. postulował **oparcie nowego modelu gospodarczego na usamodzielnionych przedsiębiorstwach i radach robotniczych.** Realizacja tego postulatu jest jednak uzależniona od wielu warunków obiektywnych, których uwzględnienie jest potrzebne, aby zapewnić praktyczny sukces idei usamodzielnienia przedsiębiorstwa. Przede wszystkim, eksponował potrzebę elastycznego, nie szablonowego podejścia do spraw zakresu autonomii przedsiębiorstw i kompetencji rad robotniczych. W związku z tym pisał, iż przemysł stalowy musi być zarządzany w inny sposób niż przemysł galanterii skórzanej; jednakowe traktowanie obu gałęzi byłoby niedopuszczalnym schematyzmem. Dlatego właśnie proces decentralizacji zarządzania gospodarką narodową nie może być przeprowadzony w sposób odgórny i schematyczny, ale musi wyrastać z potrzeb i uwarunkowań poszczególnych gałęzi gospodarki.

O. Lange łączył postulat usamodzielnienia przedsiębiorstw z potrzebą zastosowania w gospodarce mechanizmów wykorzystujących bodźce ekonomiczne. **Wymaga to reformy w sposób zgodny z istotą prawa wartości oraz oparcia bodźców materialnego zainteresowania pracowników na rentowność przedsiębiorstwa.** Rentowność powinna stać się — w przekonaniu **O. Langego** — zasadniczym kryterium oceny działalności społeczno-gospodarczej przedsiębiorstwa. Z kryterium tym wiążą się pewne niebezpieczeństwa rodzące się na tle konfliktu między rentownością produkcji poszczególnych asortymentów a zapotrzebowaniem na nie. Często przedsiębiorstwa wykazują tendencję do produkowania wyrobów bardziej rentownych, ale społecznie mniej potrzebnych. Sprzeczność taka jest wynikiem wadliwego układu cen, niezgodnego z prawem wartości. Właściwy układ cen sprawi, że asortymenty społecznie bardziej potrzebne powinny być także bardziej rentowne. **W ten sposób przedsiębiorstwo socjalistyczne, optymalizując swoją rentowność, będzie zarazem wypełniało nałożone nań zadania społeczno-gospodarcze.**

Z wywodów tych **O. Lange** wysnuł wniosek, że **kształtowanie cen nie może być generalnie przekazane poszczególnym przedsiębiorstwom,** ale winno w zasadzie pozostawać w rękach władz centralnych albo terenowych, zależnie od charakteru i ogólnogospodarczej wagi danego wyrobu. Proponuje jednakże, aby w kompetencje cenowe wyposażyć przedsiębiorstwa działające w tych przemysłach, w których istnieje wielka liczba efektywnie ze sobą konkurujących firm. Jest to tylko odstępstwo od ogólnej zasady centralnego ustalania cen. Bardzo trafnie stanowisko **Langego** w sprawie cen odzwierciedla następujące jego stwierdzenie: **„śmieszna byłaby jednak chęć pozostawienia ustalania cen węgla czy stali kopalniom lub hutom".** Prowadziłoby to — jego zdaniem — do syndykalistycznego monopolizmu, a nie do socjalizmu, w którym przedsiębiorstwa są **powiernikami** własności ogólnospołecznej, użytkowanej pro publico bono.

Istnienie ogólnospołecznej własności środków produkcji wymaga **centralnego planowania** gospodarki narodowej, które jest, zdaniem Langego, nieodłącznym atrybutem socjalizmu. Centralne planowanie ma na celu zagwarantowanie poszanowania interesu całego społeczeństwa w działalności gospodarczej oraz harmonijnego rozwoju gospodarki narodowej. **Realizacja tych celów jest niemożliwa bez oparcia centralnego kierownictwa gospodarką na zasadach demokratycznych.** Dlatego planowanie powinno w znacznej mierze korzystać z planów przedsiębiorstw socjalistycznych, które należy koordynować i uzgadniać ze sobą. Planowanie gospodarki narodowej nie może wszelako jednak polegać tylko na uzgadnianiu tych planów; **musi ono także wyrażać inicjatywę władzy ludowej,** wytyczającej kierunki rozwoju społeczno-gospodarczego; musi to więc być **planowanie nie pasywne, ale aktywne.**

Aktywny charakter centralnego planowania O. Lange pojmował jako proces kształtowania rozwoju podstawowych działów i gałęzi gospodarki narodowej, określania proporcji podziału dochodu narodowego na akumulacje i konsumpcję, zasad polityki zatrudnienia siły roboczej i jej podziału między podstawowe gałęzie gospodarki. Aby zrealizować te zadania, planowanie powinno także określać rozmiary produkcji podstawowych dla gospodarki wyrobów, takich jak stal, węgiel, tkaniny, zboże, żywiec itp., Natomiast nie może — jak stwierdza żartobliwie O. Lange — obejmować swoim zakresem szczegółów, takich jak ilość ogórków kiszonych lub ilość guzików. Te sprawy można pozostawić do decyzji pojedynczych przedsiebiorstw lub terenowych ogniw władzy.

Dociekania o roli przedsiębiorstwa i charakterze planowania centralnego skłoniły Langego do syntetycznego ujęcia istoty nowego modelu gospodarczego Polski po 1956 r., który — jego zdaniem — polega na umiejętnym **połączeniu centralnego planowania i kierowania gospodarką narodową,** podlegającego demokratycznej kontroli najwyższego organu władzy państwowej, jakimi jest Sejm, **z dużą samodzielnością socjalistycznych przedsiebiorstw, opartą na samorządach pracowniczych.** Stwierdzenie to nic nie straciło na swej aktualności i w pewnym stopniu odzwierciedla sens propozycji reformy gospodarczej zawartych w skierowanym do Sejmu projekcie autorstwa komisji rządowej.

Należy jednak dobitnie stwierdzić, iż **uzupełniające projekt reformy ustawy rządowe o przedsiębiorstwie i samorządzie pracowniczym odbiegają od zawartej w sformułowaniu Langego sugestii o umiejętnym połączeniu centralnego planowania z samodzielnością przedsiebiorstwa.** Projekty tych ustaw stwarzają furtkę dla powrotu do centralistycznych rozwiązań w systemie zarządzania przedsiębiorstwami. Obawa ta wynika z enigmatycznego, wieloznacznego ujęcia w projektach kilku ważkich dla idei decentralizacji kwestii. Przede wszystkim **głęboki sceptycyzm budzi niejasne określenie zależności przedsiębiorstwa od władz zwierzchnich.** Literalna analiza konkretnego sformułowania zawartego w projekcie ustawy o przedsiębiorstwie może sugerować, że przedsiębiorstwo pozostanie nadal wasalem biurokracji gospodarczej.

Drugim źródłem sceptycyzmu jest rozstrzygnięcie sprawy powoływania i odwoływania dyrektora przedsiębiorstwa. Otóż **projekt ustawy o samorządzie pracowniczym zmierza do pozbawienia samorządu prawa nieskrępowanego decydowania o wyborze dyrektora.** Problem ten, jak wiadomo, stał się w ostatnim czasie bardzo drażliwy i w przekonaniu zwolenników idei samorządności stanowi probierz stosunku rządu do reformy gospodarczej. Wydaje się, iż w **trosce o wewnętrzna spójność i logikę reformy należałoby sprawę decydowania o obsadzie stanowiska dyrektora pozostawić samorządowi, z wyjątkiem tych przedsiebiorstw, które ze względów strategicznych wymagają innych regulacji.**

Godna ponownego wnikliwego rozpatrzenia jest także sformułowana przez Langego, w r. 1958, propozycja, aby w toku krystalizacji nowych zasad funkcjonowania gospodarki organizować konferencje przedstawicieli rad robotniczych i dyrekcji zakładów poszczególnych dziedzin gospodarki narodowej. Konferencje takie dostarczyłyby cenny materiał dla konkretyzacji rozwiązań w dziedzinie zarządzania przedsiębiorstwami. **O. Lange** sugerował także zwołanie ogólnopolskiego zjazdu rad robotniczych, który by określił zasady ich działania i rolę w zarządzaniu gospodarką. Zjazd ów miałby również wielkie znaczenie polityczne jako czynnik koordynujący aktywność klasy robotniczej, aktywność stanowiącą fundament socjalistycznej demokratyzacji gospodarki narodowej. W formie dygresji należy skonstatować, że **instancje i organizacje partyjne dotychczas przejawiały zbyt małą inicjatywę na polu konkretyzowania idei samorządności i zostały w tej dziedzinie zdystansowane przez związek zawodowy „Solidarność", który zorganizował kilka spektakularnych ogólnokrajowych narad sieci zakładów wiodących.** Doświadczenia te powinny skłonić partię do bardziej energicznych i kreatywnych działań na niwie samorządności pracowniczej.

Jakie generalne konkluzje, ważkie dla toczącej się obecnie dyskusji o modelu gospodarki socjalistycznej, wypływają z analizy poglądów O. Langego na temat własności ogólnospołecznej?

Po pierwsze, kardynalną cechą systemu socjalistycznej gospodarki jest **użytkowanie środków produkcji w interesie i pod kontrolą mas pracujących, a nie uprzywilejowanej elity sprawującej władzę.**

Po wtóre, nieodzownym elementem demokratyzacji gospodarki socjalistycznej jest **samorządność załogi przesiębiorstwa.**

Newralgiczne znaczenie dla pojmowania charakteru własności socjalistycznej posiada teza Langego, że **załoga przedsiębiorstwa jest powiernikiem** własności ogólnospołecznej, a **nie samodzielnym, wyłącznym właścicielem.** W związku z tym za niesłuszne, iluzoryczne i wręcz bałamutne należy uznać postulaty przekazania majątku produkcyjnego przedsiębiorstw w ajencję załogom. Trzeba mieć bujną wyobraźnię, aby wykoncypować sobie funkcjonowanie hut, stoczni, kopalń itp. na zasadach tzw. ajencji. Dodać należy, iż w wielu rozwiniętych krajach kapitalistycznych instytucje państwowe przy pomocy różnorodnych instrumentów (pośrednich i bezpośrednich) oddziałują na te dziedziny wytwarzania. Po prostu **mają one zbyt ważne strategiczne znaczenie dla całej gospodarki, aby pozostawić je wolnej grze rynkowej.**

Po trzecie, na fali fascynacji samodzielnością i samorządnością przedsiębiorstw nie można zapominać o konieczności **racjonalnego, zobiektywizowanego centralnego planowania gospodarczego,** które jest niezbędnym w socjaliźmie regulatorem spraw strategiczno-koncepcyjnych.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Dalszy ciąg ze str. 1

„W zaistniałych już dokonaniach ludzkości tkwią nieznane ci nieokreślone wartości szanuj je".

Inna kamienica przy tejże ulicy Piotrkowskiej. Właściwie po sąsiedzku, bo tuż za skrzyżowaniem z al. Mickiewicza — dawniej Główną. Po lewej stronie niewielkiego podwórka — wąska klatka schodowa. Kuchenne schody, po których z torbami pełnymi zakupów biegały niegdyś służące. Teraz te strome żelazne schody są martwe, bo kuchennych drzwi wielopokojowych kiedyś mieszkań nikt już dziś nie używa. Dźwięczy po nich tylko odgłos kroków *Włodzimierza Adamiaka* i odwiedzających jego pracownię przyjaciół i znajomych.

Pracownia zajmuje wydzieloną specjalnie część strychu, na którym od dawna nie wiesza się upranej bielizny. Mroczny korytarz prowadzi do wnętrza mówiącego prawie wszystko o jego gospodarzu. Wyłożone drewnem ściany, autoportret młodego człowieka z bujną brodą, kilkanaście bardzo dziwacznych fotografii, stylowy stolik i wazon z kwiatami, bujany fotel i materace na podłodze zamiast krzeseł, ołówki, pędzle, arkusze papieru. Za oknem — łódzkie dachy.

Po ukończeniu krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych *Włodzimierz Adamiak* powrócił do rodzinnych Pabianic, gdzie mieszka do dzisiaj. Pracę znalazł w Łodzi — najpierw w Zespole ds. Estetyki Miasta Wydziału Gospodarki Przestrzennej, potem — na Wydziale Budownictwa i Architektury Politechniki Łódzkiej. Szukając lokalu na pracownię, odwiedził dziesiątki kamienic przy Piotrkowskiej, zaczynając poszukiwanie od placu Wolności. Szczęśliwy okazał się numer 149.

Dzięki wielu zabiegom i zbiegom okoliczności strych otrzymał miano lokalu mieszkalnego, remontujące kamienicę brygady dokonały jego adaptacji, przestawiły ścianki, zainstalowały kaloryfery, doprowadziły wodę. Puste przez lata pomieszczenie dzięki pomysłowości i uporowi znów zaczęło służyć ludziom. Niewielkim kosztem kilkudziesięciu zaledwie tysięcy złotych przybyło miastu kilkadziesiąt metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. Ile setek metrów mogłoby jeszcze przybyć, gdyby dobrze przeszukać łódzkie kamienice? Przybyć — nie, bo ta powierzchnia przez cały czas jest. Jest i czeka na pomysłowych i upartych.

„Nie niszcz — wykorzystuj, przystosowuj".

Przy Piotrkowskiej są dwa Urzędy Miasta. Pierwszy — pod numerem 104, o czym wiedzą prawie wszyscy, i drugi — pod 149, o czym nie wie prawie nikt. Ten drugi, pisany w cudzysłowie, to grupa kilku młodych ludzi, którzy mają wspólne spojrzenie na problemy architektury i urbanistyki. Wszyscy związani są w jakiś sposób z Wydziałem Budownictwa i Architektury Politechniki Łódzkiej. Byli lub są jego studentami, pracują tam.

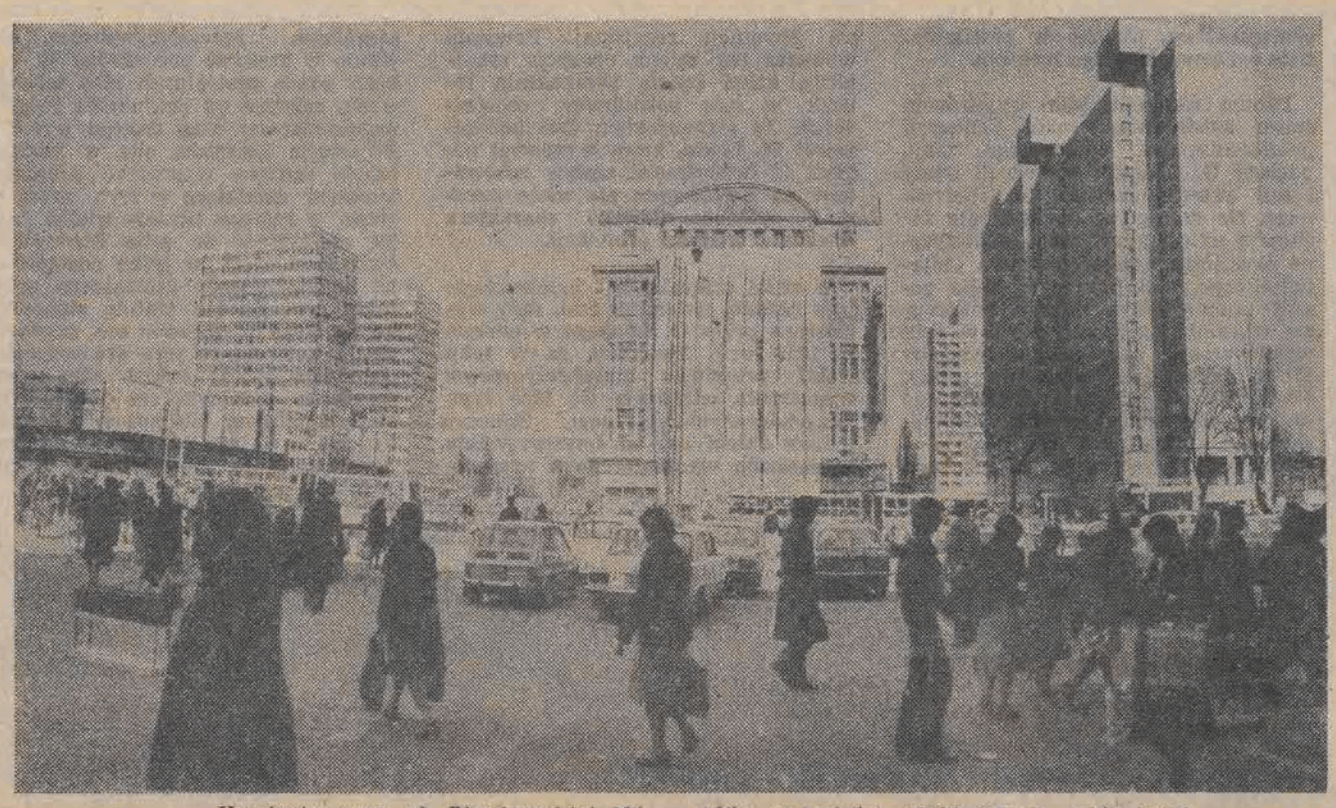

Kamienica przy ul. Piotrkowskiej 164 — relikt przeszłości wśród betonu, szkła i stali.
Foto: „Urząd Miasta"

POMNIK MIASTA

Poświęcili dziesiątki godzin na dyskusje, lektury teoretycznych prac, by wypracować swój własny, oryginalny program. Zawarli go w manifeście zatytułowanym „Urządzanie miasta". Nie chodzi przy tym o byle jakie miasto — *Włodzimierz Adamiak, Zbigniew Bińczyk, Marek Janiak* i — od niedawna — *Piotr Zuterek*, to zdecydowanie łódzki „Urząd Miasta". Choć brzmi to może banalnie — pokochali Łódź. Potrafili spojrzeć na nią inaczej niż patrzy zahukana włókniarka, czy zabłąkany turysta. Odkryli — na razie dla siebie — jej niepowtarzalne piękno i specyfikę.

Oczywiście, nie są pierwszymi, o których można tak powiedzieć. Zrobili to jednak w oryginalny sposób, o czym łodzianie będą się mogli przekonać prawdopodobnie jeszcze nieraz. Pierwszy raz przekonali się 7 maja 1981 roku, kiedy to „Urząd Miasta" odsłonił uroczyście Pomnik-Kamienicę. Było trochę gapiów, trochę przyjaciół. Fronton kamienicy — dosłownie — odsłonięto, a w bramie wmurowano pamiątkową tablicę. Następne akcje grupy, mające wiele wspólnego z formą happeningu — w przygotowaniu.

Jak dotąd manifest grupy, dobrze znany na Wydziale Budownictwa i Architektury PŁ, nie wzbudził większego zainteresowania nie wywołał gorących sporów i polemik wśród łódzkich naukowców spod znaku kielni. Docenili go natomiast, w czasie zimowego strajku, studenci, którzy stwierdzili, że po raz pierwszy zetknęli się z innym spojrzeniem na architekturę. „Urząd Miasta" dał się też poznać na sesji naukowej w Karłowie nt. XIX wiecznej zabudowy, zorganizowanej przez Politechnikę Wrocławską. Przedstawił tam dwa — bardzo różne —projekty rewaloryzacji jednego z kwartałów śródmieścia Wrocławia. Oba uznane zostały za bardzo ciekawe. W Łodzi, widać, trudniej o uznanie, bo wokół grupy panuje jak na razie zupełna cisza. Może więc te planowane akcje zwrócą uwagę, zbulwersują, zaszokują...?

„Nie jesteś pierwszy. Nie projektuj od nowa — kontynuuj".

Siedzimy w pracowni *Włodzimierza Adamiaka* i pijemy piwo, zagryzając bagietką z serkiem fromage fin. Denerwuje nas to — mówi gospodarz — że w Łodzi za wartościową uznano zbyt małą część miasta, zwracając uwagę przede wszystkim na elewacje, a dyskredytując to, co kryje się w głębi, za nimi. A przecież te wspaniałe kamienice przy Piotrkowskiej nie mogłyby istnieć gdyby nie było oficyn, podwórek, małych sklepików. Gdyby nie było tego wszystkiego, co powszechnie uważa się za szpetne i bezwartościowe. Ktoś kiedyś powidział nawet, że najlepiej byłoby zostawić tylko pałace, a resztę zburzyć, zaorać i wybudować nowe miasto.

Strzeż nas, Boże, przed takimi pomysłami!

Mamy nowe, wspaniałe osiedla mieszkaniowe. Osiedla, w których zatraca się pojęcie ulicy, placu, chodnika, podwórka itp., w których czujemy się osamotnieni, choć w tym samym domu mieszkają setki ludzi, w których brak nam poczucia prywatności, identyfikacji z domem, właśnie — podwórkiem, ulicą. Wszystkie osiedla są do siebie bliźniaczo podobne, szare. Brakuje sklepów, punktów usługowych.

Gdyby zapytać mieszkańca śródmiejskiej kamienicy, czy chciałby mieszkać w bloku na nowym osiedlu, odpowiedziałby, że tak, bo jest woda w kranie, gaz w kuchni, centralne ogrzewanie łazienka i ubikacja. I tym argumentem szafuje się na korzyść nowych osiedli. Ale gdyby tego samego mieszkańca śródmieścia zapytać, czy wyprowadziłby się ze swojej kamienicy, jeśli byłyby w niej takie wygody jak w blokach, na pewno odpowiedziałby, że nie. Tego drugiego pytania na ogół się już nie zadaje.

Można zresztą przeprowadzić eksperyment: odebrać jakiemuś blokowi na przykład na Retkini wszystko to, czego brakuje na ogół w starym budownictwie. Pozbawić go urządzeń sanitarnych, odciąć dopływ gazu i ustawić piece węglowe, wyłączyć ciepłą wodę. Ciekawe, kto chciałby mieszkać w takich warunkach? Kto by to wytrzymał?

Dawny dom, dawna ulica, to jakby odrębny mały świat. Na stosunkowo małym obszarze się mieszka, dokonuje zakupów, nierzadko pracuje, wypoczywa, mówi się: to jest moje mieszkanie, mój dom, moje podwórko, moja ulica. Zna się sąsiadów.

A w nowych osiedlach? Najpierw zbudowano przemysł na Teofilowie

---

Jerzy Kisson-Jaszczyński

POWRÓT

Rok temu wzięła udział w tej wystawie (26. I. — 10. III. 1980 r.). Kilkanaście Amerykanek i ona jedna spoza Stanów Zjednoczonych, Europejka, Polka. Nam te nazwiska nic nie mówią. Zapytać jednak, choć oczywiście też tylko fachowców w USA, kto wystawia w Galerie Scarlsdylle, dwadzieścia mil od Nowego Jorku! Silvia Vigiletti, Ellen Jacobs, Mary Shaffer, Dorit Brandt... To one, ich nie mniej cenione koleżanki i Barbara Urbańska-Miszczyk z Piotrkowa Trybunalskiego zaprezentowały na wystawie „Women in Glass" cieszące się ogromnym powodzeniem szkło artystyczne.

Piotrkowianka dokonała rzadkiego wyczynu. Od połowy listopada 1978 do sierpnia 1980 roku zaprezentowała się Amerykanom osiem razy. Siedem wystaw indywidualnych oraz udział w tej zbiorowej ,na początku wspomnianej, dobra prasa, pełne pochwał wpisy do ksiąg wystawowych.

— *Ale marzeniem każdego „szklarza"* — powiada pani Barbara — *jest dotrzeć do Corning.*

W pewnym sensie się udało. W czasie międzynarodowej wystawy „New Glass" w Corning wiosną 1979 zakupiono kilka jej prac do zbiorów tutejszego muzeum.

W przyciasnym mieszkaniu państwa Miszczyków przy ul. Piastowskiej w Piotrkowie (trzy pokoiki z kuchnią, z których największe pomieszczenie ok. 19 m kwadratowych stanowi jednocześnie pracownię, czteroosobowa rodzina) przeglądamy prasę, afisze reklamowe i prospekty, zdjęcia, wiele zdjęć i jedną z ksiąg z wpisami ludzi różnych narodowości. Odczytuję teksty uwieńczone polskimi lub z polska brzmiącymi nazwiskami: *„Jestem zafascynowany wystawą i autorką! Stanisław Szarski N.Y."... „Z największym hołdem dla Pani sztuki — Elżbieta Braun, New York"... „Beautifull!!! Like it! Caroline Wojcicki, Anherts N.H."* Pani Barbara pokazuje mi wpisy — opinie cenionych artystów „szklarzy" Amerykanów.

Gdziekolwiek się znalazła, pojawiali się Polacy. Serdeczni, życzliwi i pomocni. Dotyczyło to przedstawicieli Konsulatu Generalnego PRL w Nowym Jorku, także przedstawicieli Fundacji Kościuszkowskiej, a i osób prywatnych, od urodzenia lub po drugiej wojnie światowej osiadłych w Stanach Zjednoczonych. Tak było w czasie pierwszej wystawy w Nowym Jorku, czy kiedy wystawiała swoje prace w galerii Akademii Sztuki Uniwersytetu Yale. Tu zgłosili się natychmiast: prof. Schenker z wydziału slawistyki tego uniwersytetu i dr Janusz M. Sowadski, sam artysta plastyk. Pomagał prof. Lubomir Tomaszewski, artysta pracujący w szkle i ceramice. Także Martin Lipofsky, prezydent „Amerykan Glass Art Society", Stanisław Zagórski prof. Uniwersytetu Temple w Filadelfii opracował plakat i zaproszenie na wystawę piotrkowskiej artystki...

— *Ciągnęło do domu, do kraju, do rodziny* — powiada pani Barbara — *ale jednocześnie dni biegły szybko. Ażeby po pierwszej wystawie udała się druga, trzecia, trzeba było w ogromnym napięciu, a i przy ciągłej niepewności, czy ta następna wystawa nie będzie niewypałem, nawiązywać kontakty, zabiegać. Jeżeli komukolwiek u nas w kraju się wydaje, że łatwo w Stanach coś osiągnąć, chętnie go wyprowadzę z błędu... Kiedy wzięłam udział w ósmej wystawie, wiedziałam już, że stanowczo za długo nie ma mnie w domu...*

Dorobek twórczy Barbary Urbańskiej-Miszczyk — to prace, które zdobią wiele muzeów w kraju i za jego granicami. Kiedy jesienią 1978 roku udawała się artystka do USA, na wystawie międzynarodowej szkła artystycznego w Sztokholmie zdobyła pierwszą nagrodę, o czym na łamach „Trybuny Ludu" informował Zygmunt Broniarek. Wtedy też nadeszła wieść z Japonii — wyróżniono jej prace na wystawie w Tokio. Wcześniej przecież, bo w 1977 roku w Katowicach zdobyła złoty medal za szkło artystyczne...

— *Czy wiele pani prac pozostało w USA?*

— *Nieco. Zestaw „Oczekiwanie" powędrował do Muzeum Polskiego w Chicago. W muzeum stanu New Jersey, w Trenton, zostały trzy moje prace, a wśród nich „Planeta" i „Pamięci Chopina". We wspomnianym już światowej sławy muzeum w Corning także zestaw rzeźb, a m.in. „Czerwona skała".*

— *Kiedy odnosiła pani sukcesy artystyczne w USA, w Piotrkowie mówiono że Polonia Amerykańska specjalnie dla pani zbudowała piec hutniczy, ażeby i tam mogły powstawać nowe pani szklane cuda...*

Pani Urbańska-Miszczyk uśmiecha się. Ale nie ma w tym uśmiechu beztroski. Wiem, że sporo innych rzeczy też pod jej nieobecność wymyślono, zwłaszcza kiedy jej pobyt, oficjalnie przedłużony w naszym Konsulacie Generalnym w Nowym Jorku, potrwał dłużej. Wszystkie eksponaty wykonane zostały w Piotrkowie w Hucie „Hortensja", skąd prawną drogą przez Desę, a przy poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki, które wsparło artystkę, powodując przydział dewiz, w trzech skrzyniach przepłynęły Atlantyk.

Znów oglądamy zdjęcia i inną dokumentację zaoceanicznej wyprawy pani Barbary. Wiele kolorowych zdjęć przedstawia nie tylko ekspozycje szkła artystycznego. Także barwny krajobraz, jakieś wnętrza pałacowe.

— *To z „Jasnej Polany"* — słyszę.

Tak swoją rezydencję nazwali państwo Johnson, nie przyznający się do pokrewieństwa z byłym i już nie żyjącym prezydentem Lyndonem Johnsonem. Firma „Johnson and Johnson" — to kosmetyki, zwłaszcza cała poezja mydeł. Pan John Steward Johnson, ożeniony z o wiele młodszą imienniczką piotrkowskiej plastyczki, także „duszą artystyczną", bo historykiem sztuki, Barbarą z domu Piasecką, z pewnością pod wpływem żony Polki, z dużą serdecznością gości Polaków, zwłaszcza polskich twórców. Przyjmowano tam Wojciecha Fibaka, kapitana „Kubę" Jaworskiego, kiedy przypłynął do Ameryki jachtem „Mazurek"...

Zdjęcie z jesieni 1979: pani Barbara... zaraz, zaraz, czy to nie Krystian Zimmerman? I jeszcze jakaś młoda kobieta. A nad ich głowami — poznaję — Modigliani! I prawda, Krystian Zimmerman z przyszłą wtedy żoną, Majką... W „Jasnej Polanie" pani Barbara poznała też żonę Jana Kiepury — Martę Eggert... Dzięki pani Barbarze Piaseckiej-Johnson, która sporo pomogła piotrkowiance zawodowo, nieco też odpoczęła po forsownej „harówce" wystawienniczej.

Wróciła we wrześniu 1980 roku. *„Był czas najwyższy, jak już powiedziałam, a poza tym z Polski napływały niepokojące wieści"* — powiada pani Barbara.

Jak przyjął artystkę Piotrków? Niezauważenie. Zauważyli tylko koledzy plastycy zrzeszeni w ZPAP. Były kwiaty, gratulacje, serdeczne powitania i długie rozmowy ludzi zjednoczonych poprzez sztukę. Podobnie było jeszcze w Lidze Kobiet. W mieście było coś z milczącego zdziwienia: w r ó c i ł a!? A poza tym zmowa milczenia, także dziennikarzy zawsze wcześniej chętnie rozmawiających o nowych zamysłach artystycznych. Przyznać trzeba, że mur obojętności po takim tournee w rodzinnym Piotrkowie, jest dziwny.

Inaczej w Warszawie. Ministerstwo Kultury i Sztuki serdecznie podziękowało za godne prezentowanie kultury polskiej w Stanach Zjednoczonych. Wcześniej to samo na piśmie uczynił Konsul Generalny PRL w Nowym Jorku.

Widocznie, wróciwszy, miała składać wizyty, meldować się! Tymczasem doceniony twórca, który okazał się „prorokiem między obcymi", jest w dodatku k o b i e t ą .To już myśli postronnego obserwatora: czy aż tak trudno było się mężczyznom, zawiadującym kulturą w Piotrkowie umówić na życzliwe spotkanie z laureatką złotego medalu w rodzimych Katowicach, a i wielu laurów w Sztokholmie, Tokio i USA, ażeby poczuła się po prostu p o l u d z k u!?

Potrzeba takiego spotkania wiązała się również ze sprawą elementarną: pracą zawodową. Minął wrzesień, październik, mijał listopad 1980 roku. Nie pracowała. Czekano na Canossę? Jeśli tak, a tak widać, to znaczy, że nadal chcemy (?) brutalnie modelować nasz świat. W każdym bądź razie — świat naszej prowincji, która prowincją być nie powinna.

Dopiero rozmowa artystki z dyrektorem departamentu plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki — mgr Tadeuszem Przewoźnym, który wykrzyknął: *„Jak to, pani jeszcze nie pracuje!?"*, zmieniła sytuację. Od 24 listopada 1980 r. Barbara Urbańska-Miszczyk jest ponownie pracownikiem-projektantem HSG „Hortensja", w której od czasów ukończenia studiów we Wrocławiu, przepracowała sporo lat.

Pani Barbara wróciła do huty, którą jak każdy hutnik uważa za swoją. Różni się tylko tym od innych, iż jak na twórcę—artystę przystało, postanowiła się sprawdzić także gdzie indziej. Widać ten sprawdzian, normalnie zrozumiały, postanowiono ocenić surowo. Nie dotyczy to więc już tylko Barbary Urbańskiej-Miszczyk. Więc zadumać się wypada nad szerszą sferą: *twórcy kultury i my?*

— *Wszystko jest w porządku* — zapewniła pani Barbara, kiedy spotykamy się w hucie.

Czy na pewno?

i bloki na Dąbrowie. Potem — bloki na Teofilowie i fabryki na Dąbrowie. I tu i tu ciągle za mało jest sklepów, kin, restauracji. Ludzie z Dąbrowy pracują na Teofilowie, z Teofilowa — na Dąbrowie. Ludzie bez przerwy muszą jeździć w tę i tamtą stronę. Duszą się tramwaje i autobusy, korkują osiedlowe ulice, brakuje miejsc na parkingach. Wszyscy są zmęczeni.

Problemów tych nie znały dawniej miasta, choć tylko pozornie znać ich nie mogły. Nie znały, bo po prostu tradycyjna struktura zabudowy tworzyła się w naturalny sposób przez całe wieki. Dzisiejsi urbaniści i architekci chcą nas nauczyć w kilka lat nowego życia w nowym mieście. Zupełnie jakby świat stworzono w ubiegłym tygodniu i tylko oni, nie wiadomo dlaczego, wiedzieli jak będzie nam wygodniej żyć.

W pracowni urbanistycznej nie można zaprojektować autentycznej różnorodności miasta. Nie można przewidzieć wszystkich współzależności między architekturą i strukturą przestrzenną a formami życia społecznego. Choćby się nawet najbardziej tego chciało. I właśnie dlatego — twierdzi „Urząd Miasta" — nie należy uczyć ludzi jak żyć, ale — uczyć się od nich. Nie trzeba wcale działać na największe dobro, wystarczy działać na najmniejsze zło. Dlatego powinniśmy zwrócić się ku przeszłości i poznając ją, tworzyć przyszłość.

Szansę taką daje analiza starej zabudowy Łodzi, która ze społecznego punktu widzenia była najbardziej oszczędna ekologicznie. Której rozwój był optymalny i naturalny, w przeciwieństwie do tego, co dzieje się ostatnio. Przynajmniej zdaniem „Urzędu Miasta".

„Jakość twojego jednostkowego, prywatnego życia stanowi o jakości świata".

Zaproszony listem mieszkańców Pomnika-Kamienicy udałem się pewnego czerwcowego dnia na „wizję lokalną". To, co zobaczyłem w oficynie przy Piotrkowskiej 164, przeszło moje oczekiwania. Za odnowioną elewacją budynku, po drugiej stronie pokrytej efektowną i nic nie mówiącą malowanką ściany, kryje się wilgoć; obskurne klatki schodowe, dziurawe drzwi do ciemnych mieszkań, odpadające tynki, nieczynne rzeczywiście kuchenki gazowe i zapach starości.

Pani *Wanda Michland* mieszka na parterze od wyzwolenia. Nie pamięta, żeby przeprowadzano tu jakiś gruntowniejszy remont. Z roku na rok jest coraz gorzej, a o drobną chociażby naprawę trudno się w administracji doprosić.

Kiedyś miała u siebie na stancji studenta, który potem dostał mieszkanie tuż obok — na Manhattanie. Pani *Wanda* była zobaczyć. Ładne, ale gdyby tak wyremontować to, które zajmuje, gdyby tak trochę przerobić, odnowić, to ona nigdy by się nie zamieniła na żadne bloki. A tak — niełatwo żyć, choć to ponoć teraz pomnik.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

P.S. Śródtytuły są cytatami z materiałów opracowanych przez grupę „Urząd Miasta".

Wmurowanie tablicy pamiątkowej.
Foto: „Urząd Miasta"

DOKĄD PANIE MAGISTRZE?

Dalszy ciąg ze str. 1

z potrzebami gospodarki i kultury narodowej. Każda rozbieżność między tymi potrzebami a wielkością kształcenia wymaga więc wprowadzania korekt, nierzadko „in minus" w planach naboru na studia.

Bezpośrednio zainteresowani, to jest absolwenci, pragnęliby uchylenia ustawy przynajmniej w tej części, która nakłada na nich obowiązek zatrudnienia. Ponieważ młodzieży towarzyszy jednocześnie świadomość pogłębiającego się kryzysu na rynku pracy, wypowiadające się w jej imieniu organizacje studenckie domagają się jednakże **utrzymania, ewentualnie w oparciu o inną regułę prawną, gwarancji pracy dla każdego, kto jej szuka.**

Wobec tak zgodnego kwestionowania dotychczasowych przepisów, specjalnie powołany zespół międzyresortowy, pracujący od kilku miesięcy nad zmianą istniejącego systemu zatrudniania absolwentów, przedstawił

NOWE PROPOZYCJE

Przewidują one przede wszystkim zwolnienie zakładów z obowiązku zatrudniania absolwentów, a tych ostatnich — z obowiązku podejmowania pracy. W zamian za to zamierza się wprowadzić różnego rodzaju bodźce ekonomiczne. Szczególnie znacząca jest tu propozycja utworzenia **specjalnego funduszu płac** przydzielanego w pierwszym, krótkim zresztą, okresie zatrudnienia absolwentów dodatkowo tym zakładom, które widziałyby możliwość wykorzystania ich kwalifikacji.

Poza tym planowane jest **zastosowanie odpowiednich ulg** dla osób chcących podjąć pracę w rolnictwie, usługach i w ogóle — w sektorze nie uspołecznionym. Biorąc pod uwagę niezaspokojone potrzeby kadrowe wielu ośrodków terenowych, widzi się potrzebę utworzenia **funduszu pożyczek na tzw. zagospodarowanie** dla tych osób, które zdecydują się na wyjazd poza miejsce dotychczasowego zamieszkania. Przewiduje się także przyznawanie wyższych niż dotąd **rekompensat za wynajem mieszkań prywatnych** oraz widzi możliwość otrzymania stypendiów fundowanych, niezależnie od uzyskanych wcześniej stypendiów socjalnych.

Czy przedstawiony wyżej zestaw zachęt ekonomicznych, uzupełniony pewnymi rozwiązaniami organizacyjnym, zastąpi z powodzeniem dotychczasowy system nakazów administracyjnych? Pojawiają się tu wątpliwości. Na przykład, czy dodatkowy fundusz płac przydzielany zakładowi będzie dostatecznym impulsem do podjęcia decyzji o zatrudnieniu absolwenta? Czy fundusze na zagospodarowanie wpłyną rzeczywiście na zwiększenie ilości wyjazdów w teren, jeśli doświadczenia z ich stosowaniem, zebrane w środowisku młodych lekarzy, nie budzą nadmiernego optymizmu?

Jeżeli doda się do tego zrozumiałe powątpiewanie, czy akurat w obecnej sytuacji gospodarczej kraju stać nas będzie na stosowanie dostatecznie szerokiego wachlarza zachęt ekonomicznych, to wypadnie stwierdzić, że nowe propozycje nie dają specjalnej nadziei na pełne rozwiązanie spraw zatrudnienia absolwentów.

ISTOTA RZECZY

Wobec dyskusyjnej skuteczności planowanych zmian nasuwa się pytanie ,czy rzeczywiście konieczne jest uchylenie ustawy z 1964 roku, będącej w istocie ostatnim gwarantem pełnego zatrudnienia absolwentów szkół wyższych...

Na to pytanie można odpowiedzieć tylko twierdząco, jeśli weźmie się pod uwagę lansowaną od pewnego czasu, głównie przez środowiska naukowe i część publicystyki, koncepcję kształcenia na poziomie wyższym. Koncepcja ta głosi, że kształcenie nie może mieć wyłącznie charakteru instrumentalnego, to jest przygotowywać słuchaczy szkół wyższych do konkretnego zawodu. Studia wyższe, twierdzi się, są także dobrem samoistnym, zaspokajają aspiracje kulturowe społeczeństwa. Przypomina się przy okazji konstytucyjne prawa obywateli do kształcenia się, zwraca uwagę na potrzebę rozwoju różnych dziedzin nauki.

Obrońcy kształcenia „bezinteresownego" kwestionują przy tym tak tezę o relatywnym nasyceniu gospodarki kadrami z wyższym wykształceniem, jak i odrzucają anachroniczny, ich zdaniem, pogląd o konieczności zatrudniania absolwentów wyłącznie na stanowiskach wymagających wyższych kwalifikacji. Przyjmuje się wreszcie, że jeżeli nawet absolwenci nie będą potrzebni w konkretnym zawodzie, to kapitał ich wykształcenia można będzie wykorzystać na innych polach aktywności indywidualnej bądź społecznej.

Rezultatem głoszenia w sposób sugestywny, a niekiedy nawet demagogiczny, tego rodzaju poglądów jest postępujący proces rozmijania się ilości absolwentów z możliwościami ich zatrudnienia. Zjawisko to, które dało się zauważyć już wiele lat temu na niektórych kierunkach studiów uniwersyteckich, ostatnio rozszerza się także na inne typy uczelni. Do niedawna jednak zakłady pracy, ekstensywnie gospodarujące kadrami i tolerujące ich niepełne wykorzystanie, mogły sobie pozwolić na wchłanianie kolejnych roczników absolwentów. W nowym systemie gospodarowania będzie to już niemożliwe.

A ponieważ resort szkolnictwa wyższego, jak wynika z oficjalnych wypowiedzi jego przedstawicieli, zakłada mimo to utrzymanie obecnych rozmiarów kształcenia, należy przewidywać, że **sytuacja na rynku pracy absolwentów szkół wyższych stanie się w najbliższym czasie bardzo poważna, a na niektórych kierunkach studiów — wręcz katastrofalna.**

CO DALEJ?

Zachodzący obecnie proces zrywania więzi między systemem kształcenia i zatrudniania absolwentów szkół wyższych wskazuje na pilną potrzebę ustalenia, w jakim stopniu budżet państwa, funkcjonujący przecież w warunkach kryzysu gospodarczego, może sobie pozwolić na finansowanie miliardowymi kwotami studiów nie służących potrzebom rynku pracy.

Jeżeli w wyniku rzetelnej i obiektywnej analizy okaże się, że na kształcenie tego typu nie będzie nas, niestety, stać w najbliższych latach, należy jak najszybciej przeprowadzić niezbędne korekty rozmiarów i stuktury kształcenia. Winny one polegać na okresowym wstrzymaniu przyjęć na niektóre kierunki studiów, odejściu od kształcenia w wąskich specjalnościach, zmniejszeniu wielkości kształcenia na studiach zaocznych, zmianie zasad naboru na wyższe uczelnie — z ustaleniem zdecydowanych preferencji dla kandydatów z terenów o niższym poziomie nasycenia kadrą wysoko kwalifikowaną itd.

Tylko po wprowadzeniu takich korekt mógłby dalej funkcjonować odpowiednio zmodyfikowany mechanizm planowego i pełnego zatrudnienia absolwentów szkół wyższych.

Gdyby natomiast uznano, że pożądane czy nawet konieczne jest utrzymanie w obecnych warunkach kształcenia nie służącego bezpośrednio potrzebom gospodarki i kultury, resort pracy, po doprowadzeniu, co zrozumiałe, do uchylenia omawianej ustawy, mógłby rozważyć celowość ustalania dla poszczególnych uczelni limitów zatrudnienia przyszłych absolwentów. Limity te, corocznie korygowane, winny być przekazywane uczelniom wraz z limitami przyjęć na pierwszy rok studiów, ustalanymi przez resort szkolnictwa wyższego, i podobnie jak te ostatnie — powinny być podawane do publicznej wiadomości.

Służby zatrudnienia administracji państwowej odpowiadałyby w tej sytuacji za pełne i zgodne z kwalifikacjami zatrudnienie ustalonych „kwot" absolwentów, pozostali zatrudniani byliby natomiast na powszechnie obowiązujących zasadach pośrednictwa pracy, bez gwarancji uzyskania pracy odpowiadającej poziomowi wykształcenia. Przyjęcie takiego rozwiązania nie wykluczałoby stosowania bodźców ekonomicznych zachęcających absolwentów do podejmowania pracy tam, gdzie byliby najbardziej potrzebni.

Jak się wydaje, poza przedstawionymi wyżej alternatywami nie ma praktycznie innych możliwości sensownego rozwiązania nabrzmiałych problemów zatrudniania absolwentów szkół wyższych w sytuacji, jaka się obecnie zarysowała. Ostateczne stanowisko w tej sprawie winni zająć, i to jak najrychlej, właściwi decydenci z resortów pracy i szkolnictwa wyższego.

MAREK PRYT

MAŁGORZATA GOLICKA

KSIĄŻKI DLA NAUKOWCÓW —rzecz nie tylko w dewizach

Pismo Ośrodka Rozpowszechniania Wydawnictw Naukowych PAN (ORPAN) z dnia 19 czerwca 1981 r., skierowane do bibliotek naukowych, jest zwięzłe i lakoniczne: **„Informujemy, że limit dewiz dla potrzeb Polskiej Akademii Nauk i placówek Ministerstwa Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego, Komisja Planowania obcięła o 63 proc. W tej sytuacji** — czytamy w piśmie — **ARS POLONA zmuszona jest do całkowitego wstrzymania dostaw od nabywców zagranicznych z krajów kapitalistycznych. Ostatnim źródłem dopływu książek z krajów kapitalistycznych będą zamówienia na XXVI Targach Książki. Inne zamówienia z krajów zachodnich są wstrzymane i nie przyjmujemy żadnych reklamacji w sprawie tych zamówień".**

Równie drastyczne cięcia dotyczą puli dewiz przeznaczonej na zakup czasopism naukowych. Co to oznacza, wiedzą najlepiej pracownicy naukowi, którym bieżąca literatura przedmiotu potrzeba jest do codziennej pracy. Wiedzą bibliotekarze, którzy niedawno na swoim krajowym zjeździe przypomnieli w uchwale, iż strat w kulturze nadrobić nie sposób.

O książki i czasopisma postanowiono ubiegać się różnymi sposobami. Regres nie nastąpił wczoraj. O tym, że fatalnie handlujemy książkami (książki, podobnie jak dzieła sztuki, są specjalnym rodzajem towaru), że beztrosko kupujemy „to, co leci", a nie to, co potrzeba, że źle gospodarujemy środkami i zakupionymi książkami, bibliotekarze przypominali od dawna. Trzy lata temu, dobrze znani w Łodzi **Cecylia i Janusz Duninowie,** na łamach opublikowanego w „Polityce" artykułu odkryli przed czytelnikami cały ten wielce złożony, niesprawny mechanizm.

To prawda, utrzymywali autorzy, że mamy za mało w bibliotekach książek i czasopism naukowych, ale prawda jest również i to, że **kupujemy pozycje często przypadkowe i wcale nie najbardziej oczekiwane przez czytelników.** Składnica Księgarska — główny nasz importer — przyjmowała książki w komis od zagranicznych wydawców, wychodząc z założenia, że zawsze znajdą one nabywców. Dlatego w bibliotekach znajduje się mnóstwo przewodników turystycznych, obcojęzycznych albumów, lub zgoła zaskakujących tytułów, jak np. podręczniki dla młodzieży ujeżdżającej kuce wierzchowe. Za te pozycje winę ponoszą pospołu handlowcy, bibliotekarze i użytkownicy. Prawdą jest jednak i to, że nie najlepsze bywały źródła informacji. Ulotki, biuletyny i prospekty nie zawsze bywały na najwyższym poziomie. Nie od dziś również pula dewiz przeznaczana na zakupy książek dla bibliotek naukowych była bardzo skromna. Ostrych cięć dewizowych dokonano już w 1976 roku, kiedy to ORPAN oferował jedynie tysiąc tytułów. Były biblioteki, jak np. biblioteka PWSSP w Łodzi, dla której jedyną możliwością zdobycia zagranicznych pozycji były bezpośrednie zamówienia na Międzynarodowych Targach Książki. Zapobiegliwi dyrektorzy bibliotek wyższych uczelni kupowali również zagraniczne wydawnictwa bezpośrednio w księgarniach za złotówki, lub w Klubach MPiK.

Jeszcze trudniej było z naukowymi czasopismami zagranicznymi. Mgr **Wanda Święcicka,** kierownik sekcji czasopism bieżących Biblioteki Uniwersyteckiej, dysponuje dokładnymi danymi na ten temat. Mniej więcej od 2—3 lat czasopisma przychodziły bardzo nieregularnie. Brakowało w kraju dewiz, aby zapłacić od razu wydawcom. Tytuły nadchodziły dopiero po zapłaceniu rat i uregulowaniu rachunku. Czy w takiej sytuacji można było reklamować u wydawcy? Pamiętajmy także i o tym, że ceny czasopism zagranicznych wzrosły i pojawiło się wiele nowych tytułów, na które czekały biblioteki.

Co będzie w przyszłym roku? List ORPAN daje nikłe nadzieje. **Rektorzy Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej zwrócili się do posła. Mieczysława Serwińskiego, z prośbą o interpelację w Sejmie.** Bez czasopism naukowych będziemy pozbawieni aktualnych informacj, istracimy kontakt z tym, co dzieje się w świecie naukowym. Przynajmniej w jednej lub w dwóch największych bibliotekach w kraju powinien być komplet bieżących czasopism naukowych.

Z książką sprawa jest równie trudna, lecz nie beznadziejna. **Rzecz bowiem nie tylko w dewizach** — twierdzi dr **Janusz Dunin,** kierownik Działu Gromadzenia i Uzupełniania Zbiorów BUŁ. Po pierwsze, powinniśmy trochę nowocześniej myśleć a do tego jak wiadomo, nie potrzeba pieniędzy. Po drugie, **usprawnić organizację, informację i wymianę międzybiblioteczną.** Nawet zamożne kraje nie pozwalają sobie na zaopatrywanie wszystkich bibliotek w kosztowne pozycje. W Wielkiej Brytanii, Holandii i innych krajach istnieją wielkie centra biblioteczne. Tylko one posiadają to ,co aktualnie ukazuje się na światowym rynku księgarskim. Centralne katalogi i sprawna organizacja pozwalają zamówić w takim centrum dowolną pozycję i sprowadzić ją w ciągu jednego, najwyżej kilku dni, nawet do małej biblioteki.

U nas Biblioteka Uniwersytecka nie ma nawet telexu. Jest jednak telex w uniwersytecie, z pewnością nie zajęty przez cały dzień, i przy dobrej woli i lepszej organizacji z pewnością mógłby być wykorzystany dla potrzeb biblioteki.

Trudniej z dostarczeniem, gdyż poczta nie działa u nas najsprawniej, a ostatnio podobno nie przyjmuje paczek od instytucji. Zdarzają się też przypadki zaginięcia przesyłek z książkami, zarówno krajowymi, jak i zagranicznymi.

Dla poprawy sytuacji w bibliotekach niezbędne jest większe wykorzystanie tzw. bazy technicznej, dla przykładu — kserografów. Jakże często czytelnikowi nie jest potrzebna cała książka, ale odbitka kserograficzna jednej lub dwu stron. Kserografów jest w uczelniach sporo, zbyt rzadko jednak korzystają z nich biblioteki, wiele jest zepsutych, do wielu brakuje części. Wydaje się jednak, że ich naprawienie leży w możliwościach działów technicznych, działów aparatury naukowej i innych działających w uczelni.

Wielu pracowników naukowych wyjeżdża na staże i stypendia zagraniczne, podczas których otrzymują czasopisma i książki. Coraz więcej jest takich, którzy otrzymane w ten sposób druki przekazują bibliotece, nie traktując ich jako swojej prywatnej własności. Biblioteki starają się też uzyskać jak najwięcej zagranicznych książek poprzez wymianę wydawnictw uczelni. Jednocześnie w ostatnim czasie niepokojąco wzrosła ilość kradzieży książek. W trudnej sytuacji ujawniają się więc skrajne postawy.

SAMI NA SIEBIE

Ryszard Binkowski

W gminie Stryków mówią, że w Gozdowie znaleziono kilka zakopanych zwierząt hodowlanych. I że w klasie szkolnej w Dobrej ktoś urządził ubojnię. Działacze „Solidarności Wiejskiej", Adam Sadowski i Krzysztof Wandurowicz, nie potwierdzają tych faktów. Ale mówią z kolei, iż w jednej ze spółdzielni produkcyjnych tak posiano łubin, że na metrze kwadratowym było pięć ziaren.

W Koźlu już część ziemi z RSP przyjęli chłopi. W RSP w Tymiance grunty zawsze są pięknie obrobione, zadbane. Ale za to stoi tam pusta obora. Zakupione jałówki sprzedano, i to nie z winy spółdzielców ani prezesa Strzemeckiego. Przyszedł rozkaz budować wielką oborę, bo przybędzie zdawanej przez chłopów ziemi. Tymczasem ziemi ubywa i nie starcza paszy. A gdyby ziemia się znalazła, to nie byłoby ludzi do obsługi w oborze, bo nie ma mieszkań.

„Agroprojekt" wymusił na Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Drużbicach budowę sezonowych kurników z importowanej blachy japońskiej, które z braku ogrzewania i klimatyzacji przez większą część roku stoją puste. Koszt miał wynieść 38 mln zł, ale po przeprojektowaniu wykonawca wyciągnął koszty tej bzdurnej inwestycji do 60 mln zł. Nie wiadomo, jak pójdzie hodowla, bo kura nie lubi blachy. Kura zjada paszę, ale i nie rośnie, gdyż ciepłem własnego ciała ogrzewa blaszany kurnik. Pozostaje pytanie, czy przy nowym systemie ekonomicznym obciążona kredytem RSP wygrzebie się z długów. Bo w myśl podstawowych założeń reformy gospodarczej przedsiębiorstwo powinno opierać się na własnych planach gospodarczych, kierując się samofinansowaniem, tj. pokrywaniem wydatków z własnych dochodów pieniężnych.

Gospodarstwa uspołecznione użytkują około 4,7 mln ha ziemi, czyli 23 proc. ogólnego areału użytków rolnych. W latach 1970—79 produkcja roślinna w gospodarstwach chłopskich wzrosła o 31,1 proc., podczas gdy w uspołecznionych zmniejszyła się o 5,6 proc. Produkcja końcowa netto z hektara jest u chłopów wyższa o 20 proc. niż w sektorze państwowym, chociaż na ten sektor właśnie idzie aż 47,5 proc. ogółu nakładów. Prawie połowę nawozów, pasz, paliw, środków ochrony roślin, węgla, usług dla rolnictwa, pochłonęły w ostatnich dwóch latach gospodarstwa uspołecznione. Chłopi np. wysiewali tylko 158 kg nawozów na hektar, a gospodarstwa uspołecznione 317 kg. W 1975 r. wartość uzbrojenia technicznego u chłopów wynosiła 33,9 tys. zł na hektar, w PGR — 74,7 tys. zł, a w RSP aż 123,9 tys. zł.

Wbrew założeniom, w sektorze uspołecznionym, wskutek nagromadzenia dużej liczby zwierząt w fermach gigantach, powstały centra rozsiewu chorób epidemicznych. Ziemia jest przenawożona, zatruta nadmiarem gnojowicy, wyjałowiona jednokierunkową produkcją. W PGR koszt produkcji litra mleka wynosi przeciętnie 36 zł, a 1 kg mięsa — 160 zł. „Jak to w PGR ładnie", pisałem już w ub. roku na tych łamach w artykule pt. „Licytacja PGR?". Żeby się nie powtarzać, dodam tylko, że gospodarstwa uspołecznione otrzymywały miliardowe dotacje, żeby przynieść miliardowe straty.

Krytyka przywilejów dla sektora uspołecznionego i deficytowość produkcji w gospodarstwach uspołecznionych skłoniły rząd do wprowadzenia dla nich od 1 lipca nowego systemu ekonomicznego, czyli przejścia na własny rozrachunek. Jak one z tego wybrną? Duże znaczenie będzie mieć realizacja porozumień podpisanych przez strajkujących rolników i komisję rządową w Rzeszowie 18 lutego 1981 roku. Dla udokumentowania, że jest to sprawa bardzo istotna, przedstawmy kilka punktów tego prozumienia:

— W terminie do dnia 31 grudnia 1981 r. rząd wniesie do Sejmu projekt ustawy o scalaniu gruntów, która zniesie instytucję wymiany gruntów na rzecz jednostek gospodarki uspołecznionej.

— Począwszy od dnia 1 lipca 1981 r. dotacje i kredyty na zagospodarowanie ziemi będą przyznawane na jednakowych zasadach wszystkim sektorom rolnictwa.

— Decyzje przy rozdziale gruntów Państwowego Funduszu Ziemi będą podejmowane przy udziale przedstawicieli rolników.

— Do dnia 31 grudnia 1981 roku zostaną wydane przepisy zrównujące rolnictwo indywidualne z innymi sektorami rolnictwa w zakresie dostępności i zasad korzystania z kredytów. Środki produkcji rolniczej będzie się przydzielać poszczególnym sektorom proporcjonalnie do obszaru zajmowanych przez nie użytków rolnych. Wprowadzi się też jednolite ceny paliw, olejów, smarów, środków produkcji. Zlikwiduje się wysokie dotacje dla sektora uspołecznionego, ceny skupu dla wszystkich będą równe.

Są to tylko niektóre z ważnych punktów porozumienia. Warto jeszcze zaznaczyć, że jeśli wejdzie w życie proponowana przez rolników ustawa emerytalna, chłop będzie mógł sprzedawać ziemię państwu po cenach wolnorynkowych. Ogólnie mówiąc — oba sektory odczują głód ziemi i zaczną ją szanować.

Do Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych należy 4 proc. użytków rolnych w kraju. RSP są częścią składową gospodarki chłopskiej, toteż powinny je obowiązywać podobne zasady gospodarowania. Trzeba tak zmienić statut, żeby spółdzielcy sami mogli określać kierunki produkcji, podział dochodu itp. Aby wygospodarować więcej pieniędzy do podziału, można obrać taki kierunek produkcji, który daje największy dochód, np. hodowlę lisów lub norek. Zważywszy jednak na trudności ze zdobyciem paszy, a także jej cenę (ostatnio wzrosła o 500 proc.), można być pewnym, że RSP przemienią się w fermy dewizowych zwierząt futerkowych. Ale spółdzielnie produkcyjne mogą hodować nutrie, które jedzą to, co króliki. Mogą wziąć się również za hodowlę królików, ponieważ nakłady inwestycyjne są tu znikome.

Mówi się o tym, że w każdej gminie powinna się znaleźć przetwórnia owocowo-warzywna, pozwoli bowiem zmniejszyć koszty transportu i straty wynikłe z psucia się owoców i warzyw w okresie szczytu. Znaczną rolę mogłyby tutaj odegrać spółdzielnie produkcyjne, otwierając takie przetwórnie, bazujące na własnych owocach, warzywach i mięsie (np. króliki) oraz plantatorów z gminy. Jedno jest pewne — w spółdzielni, podobnie jak w gospodarstwie chłopskim, nie może być wąskiej specjalizacji. Bo jak ktoś się rzuci np. na same ziemniaki, a przyjdą deszcze i zaraza, to leży. Jeżeli jednak oprócz ziemniaków będzie miał jeszcze jakąś hodowlę zwierząt, warzywa i trochę zbóż, to zawsze wyjdzie na swoje.

Jeżeli RSP nie otrzymają dotacji do końcowej produkcji netto, a inwestycje będą prowadzić w oparciu o środki własne i kredyty z możliwością ich częściowego umorzenia (według zasad obowiązujących w sektorze indywidualnym), to nie pozwolą sobie wcisnąć żadnej bezsensownej inwestycji. No i skończy się wreszcie radosna twórczość obiektów drogich, deficytowych, z elementów sprowadzanych z zagranicy. Każda spółdzielnia sięgnie po materiały najtańsze — cement, wapno, cegły i pustaki.

Jednakże spółdzielnia będzie chciała zasiedlić każde stanowisko w dużej oborze lub chlewni, już istniejącej. Ponieważ przydziały pasz od państwa się utną, trzeba będzie zadbać o własne pasze. Na to potrzeba odpowiedniego areału. Tymczasem skończyły się tzw. resztówki, a o grunty z PFZ biją się chłopi. Przy scalaniu i wymianie gruntów spółdzielnie nie otrzymają już najlepszej, chłopskiej ziemi. Nie będzie też dotacji na zagospodarowanie każdego przejętego hektara w wysokości 50—70 tys. zł.

A trzeba pamiętać, że dzięki takiej operacji wiele słabych spółdzielni ratowało się przed bankructwem.

Rząd ma umożliwić nabycie ziemi ludziom pragnącym wrócić z miasta na wieś. Ziemi będzie coraz mniej. Wprawdzie do Spółdzielni Kółek Rolniczych, a ściślej do istniejących przy nich Zespolonych Gospodarstwach Rolnych, należy około 1,5 proc. użytków rolnych w kraju, i grunty te mają być rozdzielane między zainteresowanych, lecz nie zaspokoi to głodu ziemi. SKR i ZGR mimo dotacji przynoszą straty. Co będzie, jeśli im się odbierze dotacje? Rozproszone grunty przejmą przede wszystkim chłopi. Nie wierzę, aby z części ZGR powstały nowe spółdzielnie produkcyjne. Przy pomocy państwa łatwiej było zorganizować spółdzielnię, obecnie jest to bardzo trudne zasadnie. PGR może by wzięły trochę ziemi, ale do rozrzuconych po całej gminie kawałków nie będą jeździć, bo zabrakłoby im pieniędzy na traktory i paliwo.

Jeśli chodzi o SKR, rolnicy postulują, aby odrzucić tę ich fikcyjną nazwę i stworzyć państwowe zakłady usługowe, działające na rozrachunku własnym, a więc rentowne, świadczące usługi wyłącznie dla rolnictwa indywidualnego. Dotyczy to również usług remontowo-budowlanych i transportowych.

Z powyższego można wyciągnąć wniosek, że dbające o swe interesy spółdzielnie produkcyjne będą zmuszone kupować ziemię po cenie wolnorynkowej od emerytowanych rolników. Jest jednak pewne „ale". Otóż **jeśliby rolnictwo przez kilka lat nie otrzymywało dostatecznej ilości środków produkcji, to nie pomoga wysokie ceny skupu i zainteresowanie ziemią może osłabnąć. Należy się więc liczyć z powstawaniem nowych spółdzielni produkcyjnych.** W takim wypadku rząd winien zapewnić spółdzielcom pomoc w zakresie wyposażenia w podstawowe maszyny, budynki inwentarskie, czy zagwarantowanie opłat dla fachowców i dniówek dla robotników. **Po wstępnym okresie pomocy ekonomicznej spółdzielnie musiałyby rozpocząć działalność w oparciu o własne środki i kredyty.**

Państwowe Gospodarstwa Rolne, dysponujące użytkami rolnymi równymi 19,5 proc. ogólnego areału, idą na pierwszy ogień. One właśnie od 1 lipca przeszły na własny garnuszek. Jak sobie poradzą, pokaże czas. Wydaje się jednak, **że w PGR tkwia duże rezerwy, których wykorzystanie może przynieść pozytywne wyniki.** Pracownicy PGR mówią, że jeśli uzyskaja odpowiednie ceny za swoje produkty, to niepotrzebne im dotacje. I jest w tym chyba sporo racji..., ale nie same ceny stanowią meritum sprawy. Chodzi o to, że PGR w ciągu 30 lat bez przerwy były reorganizowane. W narzuconym systemie zarządzania nie liczyły się wyniki, lecz układy, znajomości, czynniki polityczne i propagandowe, nie mające nic wspólnego z dobrą pracą na roli. PGR nawiedzali co kilka dni kontrolerzy, inspektorzy, doradcy, specjaliści, z których każdy miał odrębne instrukcje, własny punkt widzenia, ale żaden nie miał pojęcia o rolnictwie. W latach pięćdziesiątych jeśli dyrektor nie stosował się do instrukcji, a mimo to uzyskiwał dobre wyniki, posądzano go o kułackie lub ziemiańskie koligacje i zabierano nawet legitymację partyjną. Natomiast w ostatnim dziesięcioleciu dyrektor PGR bywał szantażowany: jeśli nie pozwolisz sobie wybudować fermy giganta, to ci nie postawimy mieszkań dla robotników. W PGR brakowało ludzi do obrobienia posiadanej ziemi, a mimo to musiały one przejmować dodatkowe grunty, rozproszone po całej gminie, i to najgorsze. **Nie da się ukryć, że PGR były uprzywilejowane, ale w zamian za to musiały być sektorem interwencyjnym, zmuszanym do prowadzenia wszystkich kierunków produkcji bez względu na koszty.** I stąd konieczność dotacji. Jeżeli kazano im siać pszenicę na piaskach VI klasy, to siali, i nic nie rosło. A tam, gdzie rosła pszenica, kazano siać kukurydzę. I potem tę kukurydzę sprzątali w grudniu okoliczni chłopi.

W nowym systemie ekonomicznym przy dobrej organizacji pracy i właściwym wykorzystaniu ziemi zysk powinien być źródłem funduszu premiowego jako istotnego czynnika motywacyjnego działań załóg. W takim układzie pracownicy nie tylko powinni mobilizować się wzajemnie do lepszej roboty ale też kontrolować się i nie dopuszczać do kradzieży. Bo ci co kradną, okradają z zarobków uczciwych kolegów.

Pewna część zysku pójdzie na fundusz rozwoju, przeznaczony na inwestycje i spłaty kredytów inwestycyjnych. Należy przypuszczać, że w PGR inwestować się będzie mniej, a przynajmniej oszczędniej. **W wielu przedsiębiorstwach zainwestowany jest ogromny potencjał produkcyjny w postaci pomieszczeń inwentarskich, urządzeń do produkcji, przechowywania, przyrządzania i zadawania pasz.** Są też wielkie stada bydła lub trzody chlewnej. Ziemi jest mało, bo dotąd korzystano z przydziału pasz kupowanych przez państwo za granicą. **PGR muszą więc wykorzystać skrupulatnie każdy kawałek ziemi, żeby nie zmniejszyć pogłowia.** Albo też zmniejszyć je nieznacznie po to, aby należycie karmić krowy paszami własnymi, ograniczając zbożochłonne technologie w żywieniu. Rozszerzenie produkcji roślinnej dla potrzeb hodowli będzie przedsięwzięciem pracochłonnym, ale ze względu na deficyt pasz bardzo opłacalnym. Jednakże pracochłonność wiąże się z polityką zatrudnienia. PGR zawsze miały mało ludzi. Jeżeli zatrudnią więcej, to będzie mniejszy zarobek. Chyba, że zysk wzrośnie. Ale z kolei część zysku trzeba przeznaczyć na fundusz mieszkaniowy dla nowo zatrudnionych. I tak koło się zamyka.

Opłacalna będzie produkcja mleka, zwłaszcza wtedy, gdy odpowiednio będzie się premiować każdy litr mleka. W tej chwili pracownicy oprócz pensji otrzymują już 60 gr za litr. Natomiast nieopłacalne jest, wskutek deficytu pasz mlekozastępczych, odpajanie skupywanych cieląt z przeznaczeniem do dalszej hodowli. Bardziej korzystne byłoby odchowywanie własnych cieląt. To samo dotyczy prosiąt, których ceny na rynku są bardzo wysokie. Jeżeli PGR zaczną myśleć po chłopsku, to będą hodować świnie w cyklu zamkniętym, uzyskując materiał hodowlany z własnych macior. A jeśli pójdą dalej, to zajmą się produkcją wielokierunkową. Oby im tylko nie przeszkadzali w tym wojewodowie, którzy stoją się ich zwierzchnikami. PGR może prowadzić produkcję podstawową, zgodną z potrzebami kraju, np. uprawę zbóż, nasion, ziemniaków kwalifikowanych czy hodowlę jałówek zarodowych, ale oprócz tego musi mieć jakieś kwiatki w szklarniach, stawy rybne, warzywa, owoce itp., bo jest to ratunek na wypadek, gdyby produkcja podstawowa się nie udała. Pamiętajmy bowiem, że zawsze musi się znaleźć część zysku na fundusz rezerwowy, przeznaczony m.in. na premie dla załogi w latach gorszego urodzaju. A poza tym PGR będą teraz płaciły podatek gruntowy (w radach narodowych), podobnie jak chłopi.

A co się stanie, jeśli PGR zaciągnie duże kredyty i bank stwierdzi po pewnym czasie, że przedsiębiorstwo staje się niewypłacalne? Wtedy już dalszych pożyczek nie otrzyma. Przyjdzie komornik, spisze to, co można sprzedać na spłacenie długów bankowi, i trzeba będzie ogłosić plajtę. Wówczas do licytacji przystąpią chłopi, zamożna pobliska RSP lub dobrze prosperujący PGR, i wszystko rozkupią. A w obronie byłych pracowników (bo nie wszyscy będą winni plajty) wystąpią związki zawodowe.

Myślę jednak, że w pełni samodzielnym przedsiębiorstwie znajdą się ukryte dotąd źródła dochodu. Jeżeli stworzy się odpowiednie bodźce dla obsługujących sprzęt, to będą oni dbać o wszystkie maszyny, traktory, samochody i wówczas można dodatkowo świadczyć usługi dla ludności rolniczej i innych przedsiębiorstw. Chodzi tutaj o wykorzystanie traktorów i samochodów do transportu, albo o maszyny używane raz w roku, np. do sprzętu zielonek, czy też kombajnów w czasie żniw. Ponadto dużą rezerwą, która może przynieść dochód, jest udostępnienie rolnikom za należytą odpłatnością pegeerowskich mieszalni pasz, kolumn parnikowych i suszarni, które prawie przez cały rok stoją bezczynnie.

Wiele zależy od dobrego kierownictwa, sprawnej organizacji, od ludzi. Jeżeli ludzie poczują się autentycznymi współwłaścicielami przedsiębiorstwa, jeśli ich los będzie zależać od nich samych, gdy zrozumieją, że muszą pracować sami na siebie, to być może nie dojdzie do licytacji PGR.

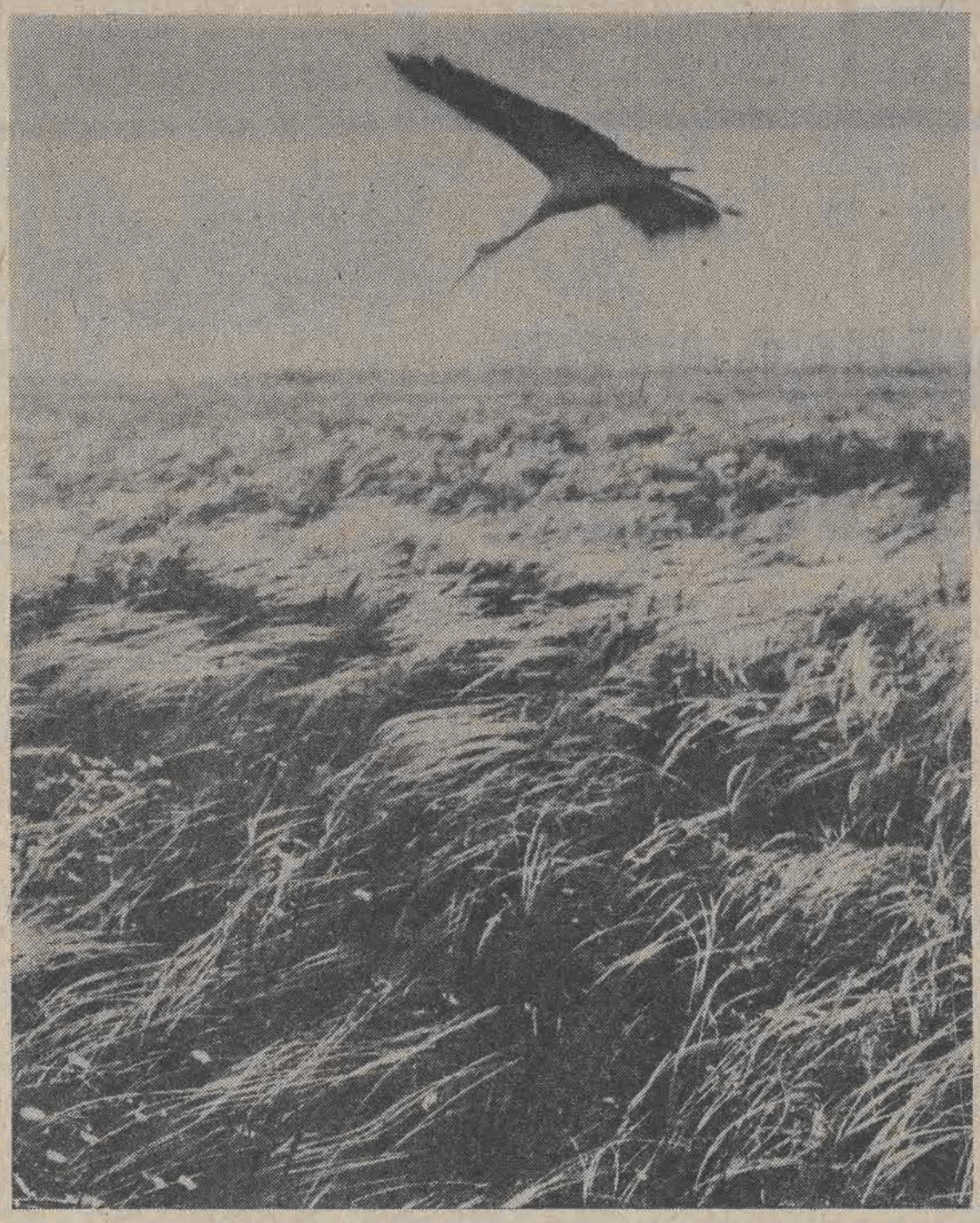

Foto: Archiwum

ZŁOTA RYBKA JOHN

Dalszy ciąg ze str. 1

pieniądze, to zaczynały się kłopoty. Dziewczyny zakochiwały się w marynarzach i był wielki lament. Wtedy interweniował mój słusznych rozmiarów brat i wyrzucał tych biedaków. To było bardzo smutne".

Do dziś w portowej dzielnicy Antwerpii są takie domy. Zaraz obok sklepów z napisem *„Wsio dla moriakow"*. Kiedy się ściemni, w oknach wystawowych pojawiają się dziewczyny, które — tak jak i kiedyś — czekają na swoich marynarzy. Chociaż dzisiaj niekoniecznie muszą to być marynarze, a niektóre dziewczyny tak naprawdę tylko z daleka są dziewczynami. Każdy z tych domków ma na fasadzie kapliczkę ze świętą figurą. Co, jak mi powiedział *John*, wzięło się stąd, że dawno temu w dzielnicy tej panowała zaraza. Mieszkańcy złożyli obietnicę, że jeżeli pomór ich opuści, to każdy w swoim domu wystawi pomnik wdzięczności. Tak też się stało.

W 1931 roku rodzina *Johna* zwinęła interes i wyniosła się na wieś. Matka prowadziła gospodarstwo, ojciec malował statki, a bracia kochali dziewczyny w sąsiedztwie. Potem przyszła wojna i stracili wszystko, co posiadali. Wrócili wówczas do miasta i założyli kawiarnię. Najpierw przychodzili do niej Niemcy, później Anglicy, Amerykanie i Polacy — tylko dziewczyny były ciągle te same. Goście, którzy nie mieli czym płacić, zostawiali w zastaw najróżnorodniejsze przedmioty, którymi obwieszano ściany. Stąd lokal wyglądał jak malowniczy bazar. Teraz, o ludziach i o tamtych czasach śpiewa swoje piosenki.

Mieć *Johna* za przyjaciela to wygrać wielki los na belgijskiej loterii. Jeżeli to ci się uda, to Antwerpia jest twoja. Zobaczysz miasto, jakiego nie widzi przeciętny turysta. Choć bardzo bogaty turysta może go sobie wynająć jako prywatnego przewodnika. Zgadza się na to tylko w wyjątkowych przypadkach. Dla przyjaciół, lub dla wyjątkowych pieniędzy. Od kilku lat jest człowiekiem bogatym: telewizja, radio, recitale, płyty, książki z poezją — słowem prosperity. Sława i pieniądze przyszły do niego późno, stąd smakuje ich godnie i z umiarem. Z *Johnem* wszystko jest możliwe. *„O czym chcesz pisać?"* — pyta złota rybka. O czym tu dumać... więc w drugą stronę. Chytre myślątka po głowie biegają. Morze wódki już było. Co by tu wymyślić złotej rybce? — *Chcę być bogatym turystą, chociaż na jedną noc!* Dostałem cztery dni, bo potem musiał wyjechać.

No więc, zaczęło się. Najpierw nocne restauracje, ale tylko te, w których jest dobra, oryginalna muzyka.

„Los Paragveros". Dwóch Chilijczyków gra na gitarach, właściciel restauracji na harfie. To dzięki tej harfie stał się kiedyś sławnym i kupił ten lokal. Znają tu *Johna* od lat. I kiedy przychodzi, dają prawdziwy koncert. Bóg nie dał mi wrażliwego ucha, nie potrafię o tym wszystkim opowiedzieć. Ale stół...? Najpierw zupa z ryby, potem owoce morza z mięsem wołowym, jajkami, pomidorami, sałatą, później wieprzowy stek z pikantnym sosem i ryżem. Później lody z ananasem, później kawa południowoamerykańska. Wielkie żarcie. Przy stoliku nieopodal nas siedzi cała wielka rodzina właściciela. Ich przybrany syn, przywieziony z Peru, obchodzi dziś trzecie urodziny. Przed nim tort i świeczki. *John* bierze gitarę od Chilijczyka i zaczyna śpiewać dla dzieciaka. Cały lokal klaszcze. Na stół wjeżdża w rewanżu koniak.

Przy wyjściu, w ukłonach żegna nas właściciel. Szarpię się z kelnerem w liberii, który usiłuje mi włożyć kurtkę. Wychodzimy na ulicę. Słyszę od *Johna*: — *„Ja cię rozumiem, ale nie rób tego więcej. Temu chłopcu on płaci za to, żeby cię ubrał. Jeżeli się szarpiesz, to znaczy, że on zrobił coś nie tak i będzie miał awanturę po naszym wyjściu. A to nie jego wina, więc nie rób tego więcej".*

Teraz Griks Caffe *„Bazoukia"*. Mam siedzieć, pić i słuchać. Co myślę o muzyce, już powiedziałem, więc siedzę i piję.

Na zakończenie wieczoru bogatego turysty Chines Restaurant *„Parking"*. Chińczyk był podrobiony, bo pochodził z Tajlandii. Ale poza tym, przy stole pełny szpan. Tylko, że on nagle w moim ojczystym języku: *„Dzień dobry, dziękuję, do widzenia"*. A kiedy nacieszył się już efektem, na zakończenie dodał: *„Ja mam sąsiad. On nazywa się Stalówka"*. Cholera, skąd on to wziął — *Stalówka*. Cały szpan prysnął.

Z *Johnem* wszystko było możliwe. *„Chcesz zobaczyć port od strony doków?"* Wynajął taksówkę na całe popołudnie. Bo trzeba całego popołudnia, żeby objechać ten gigant. Port kontenerowy, port spożywczy, port drzewny, port węglowy, suche doki, rafinerie i tak całymi kilometrami.

„Chcesz zobaczyć, jak szlifują diamenty? Moja żona pracowała dla nich 30 lat. Znajdę ci polskiego Żyda, to ci wszystko pokaże". To była wąska, krótka uliczka, na której stoją biurowce i synagogi. Przy wjeździe zatrzymuje nas „glina". Kilka słów z taksówkarzem i możemy jechać. Na tej uliczce więcej jest tajniaków i policjantów, niż zwykłych przechodniów. Nie bez słuszności. Bo właśnie tu kilka dni temu wybuchła bomba. Chałaty, czarne garnitury, meloniki i jarmułki, białe pończochy, pejsy i loki, złot zęby i złote okulary — ostatni raz coś takiego widziałem na *„Ziemi obiecanej" Wajdy*. I to było niezwykłe. Diamenty natomiast, jak diamenty.

„Chcesz zobaczyć, jak tatuują marynarzy?" Albertos Tattobhop and Mieke Bohippersstural 25. Kolorowe tusze, elektryczne bolce do kłucia, kalki z wzorami i swąd dezynfekujących medykamentów. Właściciel, oczywiście sam, przykładnie cały potatuowany — cyrk.

„Chcesz zobaczyć klub dla prawdziwych mężczyzn?" Mieści się na ulicy Brouwersuliet 32, nazywa się *„De snor"* — czyli wąsy. Dzisiaj młody chłopak, wyglądający jak żywcem z obrazów Holbeina, ma tu swój wernisaż. Przyszli krytycy i jego przyjaciele. W klubie gwar i zapach piwa. Prawie wszyscy mężczyźni mają tu wąsy. Oczywiście, najwspanialsze ma sam właściciel. Co piękniejsze sfotografowane, wiszą oprawione w ramki na ścianach. Są wśród nich członkowie klubu, są również mistrzowie gatunku z całego świata. *„Nie zna pan Idziego Gagatka!? To są przecież najdłuższe wąsy w Polsce!!.* Przynoszą mi zdjęcie. Faktycznie. *Idzi*, jak żywy, w mundurze górnika. Dwóch facetów po jego bokach eksponuje te niebotyczne wąsy. *„Czy mógłby nam pan dać adres Walesy? Nie mamy go jeszcze w naszej galerii. A to teraz najbardziej popularne wąsy na świecie. Koniecznie musimy mieć z autografem".*

Krytycy publicznie wygłaszają swoje sądy o obrazach chłopaka. Przyjaciele klaszczą. Cała knajpa śpiewa: *„Nie idźmy do domu, jeszcze nie, jeszcze nie. Nie chcemy do domu, przecież naszej mamy nie ma w domu. Wilde as rent deurt leve gaon..."* — hymn klubu, który napisał dla nich John, też wąsaty, honorowy członek klubu.

„Chcesz zobaczyć faszystów? Ja tam nigdy nie chodzę, ale dla ciebie to może być ciekawe". Z ulicy, schodkami głęboko w dół, do piwnicy. Śmierdzi tu piwskiem i moczem, tak jak u nas *„Pod kuflem"*. Pochylony nad pianinem facet bębni palcami w klawisze, a wszyscy drą się na cały głos. Kończą jeden wrzask i zaczynają drugi. Kuflami walą w blaty stołu. Mocno, równo, rytmicznie. Większość z nich to młodzi ludzie, skórzane kurtki, bryczesy, wojskowe wysokie buty, swastyki, żelazne krzyże. Na ścianach hasła i zerwane tabliczki z nazwami ulic. *„John, o czym oni śpiewają?"* — *„Tego nie będę ci tłumaczył"*. Jest wyraźnie zirytowany. Zresztą już nie śpiewają. Wszyscy coraz natarczywiej zaczynają się nam przyglądać. *„Nie proś mnie, tego ci nie będę tłumaczył. Chodźmy stąd"*. I już na ulicy: *„To są gówniarze, niczego nie rozumieją. Ich rodzice siedzieli po wojnie w więzieniu. Za kolaborowanie z hitlerowcami. Oni teraz czują się pokrzywdzeni. Zupełny margines — cena demokracji"*. Myślę o tym, jaką cenę nam przyjdzie zapłaciać, jaką nazwę przyjmą nasze marginesy.

„Chcesz zobaczyć..." Nie, John, mam już dość. Jedźmy do domu.

Mieszka w małym, skromnym domku na przedmieściu. Jego mieszkanie to prawdziwy mały skansen. Gdyby spojrzeć z ulicy przez okno, to zobaczymy najpierw biurko z kreślarską lampą, przy którym pracuje i podpisuje czeki. Później, obszerny, prostokątny pokój, o białych ścianach, przedzielony w połowie półkolistym łukiem szerokim na cegłę — to w planie ogólnym. W planie amerykańskim dojdzie zajmująca jedną ścianę biblioteka z jasnego drzewa, wygodne siedziska, ława, obszerny klub angielski, pokryty pikowaną skórą. Ale dopiero zbliżenia mogą powiedzieć coś istotnego o tym, czym jest naprawdę mieszkanie *Johna*. A więc zacznijmy od prawej. Zdobiona gotycka głowica z antwerpskiej katedry, wysoka na pół metra, stara flamandzka ceramika: talerze i dzbany, jawajskie lalki z teatru cieni, oprawne w skórę książki o muzyce, malarstwie i poezji oraz przebogaty dział bajek, portret *Johna* namalowany przez małego pacjenta kliniki psychiatrycznej, wspólne zdjęcie z królową *Fabiolą* (*„Na wystawie książek obstawa nie pozwalała do niej podejść, ale zacząłem śpiewać i to ona podeszła do mnie"*), toczony w drzewie stojak z wydanymi przez niego płytami. Ale to wszystko jeszcze nic, bo jego prawdziwą pasję stanowią instrumenty. Kiedy podaje ich nazwy, gładzi je piszczotliwie i uśmiecha się sam do siebie. Dotyka pulchnymi palcami strun, skóry, klawiszy, dmucha w otwory i uderza pałeczkami. Kudulka z Bułgarii, lutnia, viola, wlir, i citar z Flamandii, czeska fujarka, bandura z Portugalii, crut brytyjski, herdgerdi z Francji, prym i gęśle z Jugosławii, harfa z Irlandii, skrzypce z Chin i Neapolu, bęben liturgiczny z Dżakarty, gong n Nepalu, czarango z Paragwaju, bałałajka — wiadomo skąd, gitarone z Meksyku, flety z Bali i Indonezji, flet zaklinacza węży z Indii, święte flety japońskie, magiczny 2-metrowy flet z Australii. Jeszcze miniaturowe organy i katarynka, jeszcze... *John* kocha instrumenty, mógłby o nich opowiadać godzinami. Sama historia zbioru to temat na oddzielne opowiadanie. W domu było ich siedemnaścioro i każdy z nich musiał umieć grać i śpiewać na jakimś instrumencie. *John do tej* pory potrafi to robić na skrzypcach, gitarze, pianinie i okarynie. Pierwsze skrzypce w życiu, na jakich gra, zrobił sam. Do dziś ma złote ręce. W jego domowym warsztacie powstają dla dzieci cudowne instrumenty: bębenki, kołatki, grzechotki i dziesiątki innych wydających przedziwne głosy przedmiotów. Dla dziecka, które nie miało dwóch palców, skonstruował specjalną fujarkę. Dzieci kocha szczególnie i gotów jest dla nich zrobić wszystko. Kiedy umarła jego żona *napisał piosenkę:*

Kiedy patrzę w oczy moich wnuków
Cały świat się do mnie śmieje.
I mówię wtedy: dziękuję ci, Julio.

Kiedy patrzę w oczy moich wnuków
Znajduję w nich miłość.
W środku coś mi zaczyna śpiewać
I nikt tego nie słyszy, oprócz ciebie.
Dziękuję ci, Julio.

Przez 30 lat pracował z dziećmi w Mechelle. Uczył ich śpiewać, tańczyć, robić lalki, rysować i rzeźbić w glinie. Teraz, kiedy się już zestarzał, coraz częściej zagląda do domów starców, do przytułków. Mówi z uśmiechem, że dobrze się tam czuje. Przez 44 lata pracował dla kogoś, teraz jest szefem sam dla siebie. Uważa, że to, co robi, jest jego wolnością. Ma czas patrzeć w przeszłość i zastanawiać się nad tym wszystkim, co przeżył.

Od dawna już nie zmienia swoich poglądów. Beret na jego głowie wziął się stąd, że lekarz kazał mu chronić czuprynę przed zimnem. Czerwony szal natomiast wziął się stąd, że *John* jest socjalistą, co znaczy dla niego tyle, co: *„robić wszystko, żeby różnica pomiędzy najbogatszymi i najbiedniejszymi była jak najmniejsza."* John jest muzykiem i głównie śpiewem służy swojej partii. Śpiewa na wiecach i zebraniach. W 1973 roku śpiewał również w czasie strajku generalnego w Brukseli. *„Ludzie władz na całym świecie są tacy sami. Nasi działacze związkowi mają zawsze za ciasne kaski. Bo oni wkładają je jedynie na manifestacje. Na kilka dni przed świętem 1 Maja proszą, bym przysłał im nuty i słowa „Międzynarodówki". Bo nikt z nich nie umie tego śpiewać." Idziemy spać. Jutro wigilia".*

Rano budzi mnie słońce, rozsuwam do końca żaluzje. Widok z okna: płaski, mały daszek, obsypany drobniutkimi białymi kamykami. Kamyki obrosły już mchem i puszczają pierwsze trawy. Dookoła identyczne daszki innych domów. Łączą je niskie murki, obłożone z wierzchu czerwoną dachówką. Z dachu wystają kamionkowe i blaszane kominy. Jedne z nich są proste, inne zagięte. Są tu również mansardy, tarasy i otwory przykryte plastykowymi hełmami, wpuszczającymi światło do wnętrza budynku. Wszystko to miniaturowe, tak jak i ogródki, po kilka metrów kwadratowych każdy. Z braku miejsca na ziemi ogrody przedłuża się w wzwyż. Na parapetach okien, murkach, daszkach i tarasach ustawione są skrzynie z ziemią i pojedyncze doniczki. Przypomina to ogródek Kaja i Gerdy z *„Królowej Śniegu"* Andersena. Takie też jest. Ktoś, kto stawiał te domki i budował ogródki, musiał kochać swoją pracę. Teraz odwdzięcza mu się ona świadcząc przed przyjezdnym gościem urodą, kunsztem rzemiosła i solidnością.

Miejski szpital dla ludzi starych i nieuleczalnie chorych Wchodzimy do jednej z sal-gigantów. Długa na 100 metrów, z żebrowym, gotyckim sklepieniem. Już w środku, nad wejściem, 3-metrowy krucyfiks. W ścianach, wnęki z popiersiami świętych. Ludzie umierają tu od 1692 roku. Po dwóch stronach tej sali-kaplicy, rzędy sterylnych śnieżnobiałych łóżek. Każde z nich, o podstawie z kielicha, wyposażone w najróżnorodniejsze dźwignie i pokrętła, właściwie stoją tu machiny, a nie łóżka. Posuwamy się w pochodzie. Najpierw *John*, grający na skrzypcach, później dwaj jego przyjaciele z gitarą i akordeonem, na końcu Marokańczycy i ja. Śpiewa o starej, odchodzącej Antwerpii, mieście ich młodości. Większość starców nie reaguje zupełnie. Ale u niektórych ożywiają się oczy. Uśmiechają się. Jeszcze inni klaszczą w dłonie, ruszają biodrami. Teraz śpiewają Marokańczyycy. W ten sposób posuwamy się krok za krokiem, sala za salą. Wśród zapachów lekarstw i starości. Wszystko to pod bacznym okiem ordynatora szpitala i siostry przełożonej. Już na początku wizyty, kiedy dowiedzieli się, że jestem z Polski, zadzwonili do kartoteki. *„Musi być jakiś Polak, przecież to wielki szpital"*. Mieli rację. Kobieta nosi *nazwisko Karolak*. Bardzo dużo wysiłku i dobrej woli włożyli w te poczukiwania. No i stoimy teraz przed łóżkiem, z całym orszakiem muzyków i łapiduchów. Nie mogę ich zawieść. Patrzą na mnie, chcą usłyszeć tę dziwną, szeleszczącą mowę.

W łóżku-machinie leży stara kobieta, o wykrzywionej bólem twarzy.

— *Proszę pani, jestem Polakiem...* Brak jakiejkolwiek reakcji. — *Przyszedłem tutaj, żeby...* Widzę po oczach, że nie mam z nią żadnego kontaktu. Zapada długa, kłopotliwa cisza. Co teraz robić? Oni wciąż na mnie patrzą. Pewnie coś powinienem zrobić. Boże, żeby to się już skończyło... Nagle słyszę, jak mówi:

— *...nigdy nie byłam w Polsce... mój ojciec pochodził stamtąd.*

Cisza.

— *Czy mógłbym coś dla pani...*

— *Nie, dziękuję. Proszę zabrać stąd tych ludzi. Chcę być sama...*

Chcę coś jeszcze powiedzieć, ale...

— *Proszę, niech pan już idzie.*

— *Chciałem...*

— *Nie. Ja rozumiem, nie trzeba.*

Uśmiechnęła się z wysiłkiem:

— *Chcę być sama.*

Boże, przecież dzisiaj jest wigilia.

* * *

Śpiewają, tańczą, biją w bębny. W tej knajpie lubią gastarbeiterów i egzotyczną muzykę. Zaraz po szpitalu John nas tutaj przyprowadził. Chce dać zarobić Marokańczykom. To wszystko w szpitalu było gratis. Tych czterech chłopaków wygląda jak gdyby jakaś łapa nagle przeniosła ich wprost z pustyni do tego lokalu. Przestraszone, rozbiegane oczy. Poubierani w podarte łachy. Mają jeden porządny instrument. Reszta to własnej roboty grzechotki i bębenki. Ich szef nazywa się *Mimouna Abdilfodera*, a zespół *„Charkawa"*. W przeriwe mówi mi, że koniecznie muszę go odwiedzić. Na kartce papieru wypisuje adres: Rue K. N 227 DHAR Elmehha. Lazaret. Qujda. Maroko. Co by było, gdybym któregoś dnia stanął przed białym domkiem z gliny? John obchodzi z beretem w ręku stolik za stolikiem. Sypią się dwudziestofrankówki. Wychodzimy z zaduchu na powietrze. Z beretu wyciąga teraz garściami pieniądze. i wciska do kieszeni Abdilfodera. *„John, przecież pracowaliśmy razem!"* Ten kiwa przecząco głową. *„Dziś jest wigilia"* — mówi.

— *Hej, John, będzie mi cię brakowało...*

— *Tak się mówi, zapomnisz. Jak wrócisz, powiedz swoim, żeby raz w roku sprawdzali kaski działaczom związkowym. U nas, niestety, zapominają. Może wam się uda.*

MAREK MILLER

RAFAŁ ORLEWSKI

NIE

Nie zginę wcale. Bowiem ciało,
gdy jeszcze młode, jędrne, zdrowe,
tym szybciej zapomniane bywa,
im bardziej wczoraj odurzało.

Nie padnę głodny. Głód zabija
zazwyczaj w porze nasycenia —
jeśli cierpiałem to z pragnienia,
które jak wieczność — nie przemija.

Nie umrę nigdy. Skóra zdarta
nożem bladości z krwi odbiegłej
będzie jak odwrócona karta
w książce — do cienia równolegle.

Więc wszystko proste? Tak... Poza tym,
że ktoś w kamieniu: żył był w latach...
A chciałem tylko w ziarnach kłosów:
nieme pytanie warg bez głosu.

1981

PIĘĆDZIESIĄT

Moje pół wieku, jeśli mi pisane
dolecieć idąc do okrągłej daty,
cóż znaczyć będzie dla chciwej łopaty,
która w zaraniu stworzyła testament?

Cóż znaczyć będzie jubileusz gorzki,
jeśli go zechcą słodzić sacharyną
i niecierpliwie czekać, aż się zwiną
płatki tej róży, która w dłoniach boskich?

Boskich — bo ludzkich, bo twoje to dłonie,
matko, ty tylko w życiu moim święta,
boskich — bo inne tyle się pamięta,
ile człowieka w człowieczej obronie.

I tyle, ile zdołamy zapomnieć,
kiedy lecimy idąc przez pół wieku
z czystą intencją, aby siebie przekuć
w słowo ulotne, „w cień" — mówimy skromnie.

Więc czymże dla was to dziejowe mgnienie,
dla mnie, któremu imię z archanioła,
a który nieba nie przeczuwał zgoła,
żółcią żywicy żywiąc swe istnienie.

Czymże ta data, gdy ją chwycę idąc —
na grobie matki lampką zapaloną,
wspólnym spacerem między pieśni z żoną,
wejściem do sadu czy ku hesperydom...

1981

WEHIKUŁ

W moim oddechu tylko pies zaskomli,
kiedy zobaczy pysk swój zawiedziony,
że strzelił węchem w wypłukany piasek
w czasie, gdy łapy jeszcze grzęzły w torfie.

W mojej pokorze tylko przeszczep jadu,
kiedy wyplatam giętkość ciała żmii
z kosza, co dotąd służył mi za gniazdo,
gdzie giętkość miała być pokorną szyi.

W belce uczucia gwoździe moich zbudzeń —
porannych w nocy, zaciemnianych we dnie.
Miał to być moich podróży wehikuł,
lecz wciąż buduję koło lewe przednie...

A pozostałe koła już się toczą:
może poza mną, może równolegle,
niekiedy słyszę ich turkot, gdy nocą
idę przez siebie po wspomnienia zbędne.

1979

WIZJA

Życie:
wizja nie podobna do żadnej z tych,
w których mogło się zawrzeć.

A jest podobna,
kiedy nieobecność
w chłód powietrze zmienia.

A jest podobna,
kiedy zatłoczona
nadzieją.

A jest podobna,
skoro z nią się sprzęgły
cezury ruchu.

Zatem dwie prawdy?
Jednią je objęto.
Życie jest wizją nie domkniętą.

1977

JERZY URBANKIEWICZ

miejsce na ziemi

(opowiadanie ze zbioru „Dwa stopnie Celsjusza" złożonego w Wydawnictwie Łódzkim)

Trawa w tym miejscu rzadkimi kępami urozmaicała czerń zawsze wilgotnej ziemi, więc obcasem wyrył w tej ziemi krechę, znacząc takiej wielkości kwadrat, jaki pamiętał, a jeśli trzy dziesiątki lat zatarły pamięć, to przecież bez trudu mógł sobie wyobrazić powierzchnię, na której mieściły się trzy trumny. Teraz śledził ruch łopat wgłębiających się w tę samą ziemię, którą on wtedy zgarniał z trawnika, by zapełnić dół. Z reszty usypał mogiłę. Kiedy tu dziś przyszli, śladu pagórka nie było.

Kiedy ci, co teraz kopali, mieli dół po kolana, od strony lipy gruby korzeń sprzeciwił się ostrzu łopaty. Szedł od pnia skosem ku dołowi, do trumien. Dębicki mimo woli podniósł głowę, wpatrzył się w konar ocieniający grób i pokręcił głową. Wtedy, w ten pierwszy powojenny dzień wszystkie korzenie, które przeszkadzały, zrąbali. To znaczy, że ten wyrósł później, a był jak macka o tysiącu palców, którą drzewo sięgnęło i coś z nich, z tych trzech ciał wzięło do siebie. Dębicki znał się na wątku i osnowie ,na czółenku i nicielnicach, a nigdy, przez całe długie życie nie zastanowił się, ile z człowieka weźmie do siebie drzewo. Czy w te i narosłe latami konary przeszły tylko komórki rozłożonych ciał? Czy może przeszło też cierpienie — przecież ono drąży człowieka, zostawia ślad. A strach śmierci a potem jej ból, czy się tam gdzieś w sercu czy mózgu nie odkładają, czymś takim innym niż ciało, ale prawdziwym? I dopiero kiedy tam poprzez dębowe wieko przedarły się korzenie lipy, wzięły to do siebie, wyniosły do konarów, rozgarnęły na powierzchni liści i wystawiły ku niebu. I w jakiś słoneczny dzień ten ból się ukoił. Wzdrygnął się Dębicki od dziwności tych swoich myśli, oderwał oczy od zielonej korony, ale idąc wzrokiem zgrzytającym po piachu i kamieniach łopatom, spojrzał na Adę.

Przysłoniła oczy, zmarszczki i myśli ciemnymi okularami. Kto może wiedzieć, jakie obrazy przywołuje wyobraźnia z tamtej strony okopconych szkieł. Dębicki, cofając się wspomnieniami ku czasowi, kiedy Ada była dziewczynką odnalazł w pamięci jeden wyodrębniony z przeszłości obrazek: w oknie pałacu, w obramowaniu firanek i doniczkowej zieleni — głowa prezesowej; a tu bliżej, na kocu, wśród szmatek i lalek ciemnowłosa dziewczynka wołająca ku oknu: „Ich weiss nicht, Mutti!" To była Ada. Dębicki nigdy się nie zastanawiał, jakim pytaniem poprzedziła matka tę odpowiedź, więc zastanowił się teraz i stało się oczywistym, że matka pytała: „Gdzie jest Lilka?" — bo pytanie to w domu Rosenthalów słychać było częściej niż inne.

A Ada stała właśnie ukryta za swoimi okularami, pochłonięta kontemplacją każdej łopaty ziemi wyrzucanej z dołu, myślą o dobrze spełnianym wobec rodziny obowiązku i jednak wzruszeniem, bo wszystkich ludzkich uczuć babka nie zdołała w niej zabić. Ojciec był dla babki pobłażliwy. Na jej patetyczne wypowiedzi o wielkości narodu niemieckiego reagował uśmiechem, machnięciem ręką, a jeśli się zdarzyło, że dawała lekcję patriotyzmu komuś obcemu, spokojnie wyjaśniał, że ten niemiecki punkt widzenia ma niewiele sensu. Większość fabryk łódzkich wprawdzie należała albo do Niemców albo do Żydów. ale protoplaści niemieckich rodów przyjechali tu na wózkach zaprzężonych w psy, a protoplaści rodów żydowskich przyszli pieszo z workiem na plecach. Jedni i drudzy dostali kredyty od władz tego kraju, każdy dołożył do kredytu jakiś szwindel własnego pomysłu i tak powstały fortuny. I mówił to po polsku.

Matka, z domu Meyer, z tych Meyerów, co to „pasaż Meyera" w bok Piotrkowskiej, a więc rodzina niemiecka. Ale domy i pałace projektował jej ojcu polski architekt Majewski, a na wszystkich zdjęciach w rodzinnym albumie widniał znaczek firmowy fotografa Wilkoszewskiego. Więc ta niemieckość w domu Meyerów była jak oka tłuszczu na polskim rosole. A kiedy Liza Meyer zmieniła nazwisko na Rosenthal, nastroje w nowym domu — pomijając oczywiście postawę wojowniczej babki — były podobne.

Stosunki Ady z siostrą układały się różnie w różnych okresach życia. Z faktu, że Ada była nieco starsza, wynikała jej skłonność do opiekowania się Lilką, ale różnicę tę zacierał czas i pewna buńczuczność, jaka charakteryzowała młodszą siostrę. Z drugiej zaś strony filigranowość Lilki sprzyjała temu, że opiekuńcze instynkty mocno zbudowanej Ady realizowały się jakoś i stwarzały pewną serdeczność we wzajemnych stosunkach. A jednocześnie jedna ulegała wpływom babki, druga widziała wzór postępowania w ojcu. Ich siostrzanej bliskości zupełnie nie przeszkadzało, że jedna nawiązywała rozmowę po polsku, druga po niemiecku. A bywało, że ojciec uśmiechał się półgębkiem, słysząc, jak małe prowadzą dyskurs dwujęzyczny. Na pytanie zadane po polsku padała odpowiedź po niemiecku i na odwrót. Stosunki między nimi zaczęły nabierać innej barwy, kiedy Lilka weszła w wiek przepoczwarzania się z podlotka w panienkę. Coraz częściej przepadała wtedy, budząc zainteresowanie i zawiść siostry o to, co mogła robić, kiedy była nieuchwytna. Aż pewnego lata wymogła na ojcu zgodę na wyjazd „ze szkołą" do Mszany Dolnej, a wróciła w szarym mundurku polskich harcerek. Przeraziło to babkę, a wprawiło w niemiłe zdumienie Adę. Ale ani babka, ani Ada, ani rodzice nie mieli złudzeń, że to ostatnia ekstrawagancja Lilki. I rzeczywiście — w czasie jednego z rodzinnych obiadów oświadczyła, że zmienia szkołę. A porzucenie jedynego w Łodzi gimnazjum niemieckiego oznaczało podjęcie nauki w polskim.

— *Nic innego, tylko ten korzeń trzeba będzie zrąbać...*

Dębicki mówił to takim tonem, jakby czekał, że ktoś znajdzie inny sposób pogłębienia dołu. Najcieńsze rozgałęzienia dały się odciąć ostrzami łopat, natomiast ten główny i te grubsze odrosty wciąż jeszcze trzymały się tego co na dole. Ta błaha przeszkoda zirytowała Dębickiego. Spojrzał ze złością na Adę — po co tu przyjechała! Skoro prezes tu chciał spoczywać, to chyba miał na myśli święty spokój, na zawsze. Na kartce napisał wyraźnie: „Pod tą grupą lipą." I wrósł w nią i ona go... ich wzięła w siebie, zgarnęła tym korzeniem, że rozdzielić można tylko toporem

Żałowała, że w ogóle nie może ich zabrać ze sobą do Mönchengladbach, gdzie sama spocznie, jej mąż i dzieci, ale zbyt by to było kłopotliwe, a poza tym — przecież oni tu się rodzili, więc tu jest ich, jakby to powiedzieć... Błąkały jej się po głowie określenia „ziemia rodzinna", „ziemia ojczysta", ale nie mogła znaleźć właściwego. Tam, w gronie łódzkich volksdojczów, obecnie już obywateli Republiki Federalnej, nie ma tych tendencji, co wśród członków ziomkostw. Nazwać na przykład Śląsk ziemią rodzinną znaczyłoby anektować tę ziemię. Nazwać Łódź ziemią rodzinną miałoby sens zupełnie inny, znaczyłoby matkę, ojca, siostrę przypisać tej ziemi. A w pewnym sensie i siebie i Hansa i najstarszą, tu urodzoną Gretchen.

W trzy węzełki związano trzy szare grudki, które tylko dzięki obecności i pamięci Dębickiego identyfikowały się jako szczątki trzech określonych osób. Gdyby ktokolwiek w chwili tej przemówił, sformułowałby ów werset biblijny o znikomości życia ludzkiego, o prochu, w który się obrócisz. A jednak w tej chwili zadumy i uświadomienia sobie płonności ludzkich zabie-

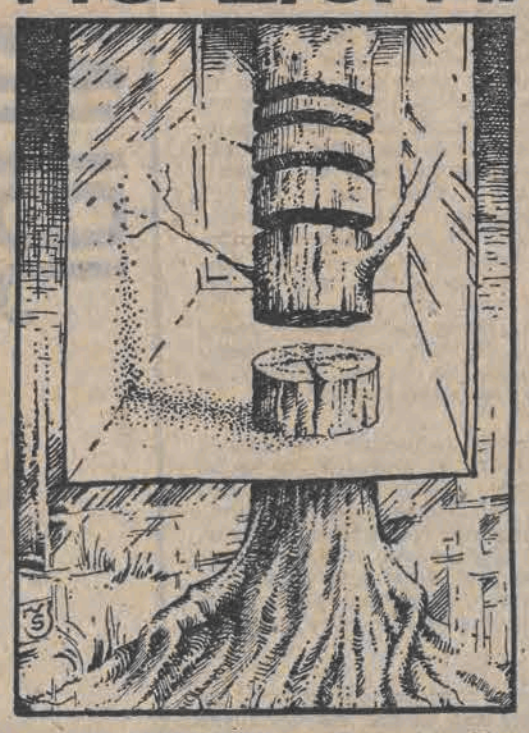

Rys. Janusz Szymański-Glanc

gów nagle przeszłość przemówiła do teraźniejszości, urągając owym od tysiącleci uznanym i powtarzanym prawdom. Efekty ludzkich zabiegów są trwalsze niż człowiek: od jednej z grudek oddzieliła się ozdobiona brylancikami broszka Lilki, w innej doszukano się złotej spinki prezesa. Robotnik otarł broszkę o waciak, odmuchał z ziaren piasku i podał Adzie. Proch, wydobyty z mogiły nie kojarzył się z ludźmi, po których został. Broszka przypominała Lilkę. Przypominała poprzez pamięć białej bluzki, do której nosiła tę broszkę. Więc teraz Ada mogła sobie wyobrazić siostrę, jak wyglądała na chwilę przed tym, zanim ją tu złożono, by przeszła proces przeistoczenia się z uroczej, jak ją pamiętała, dziewczyny w tę grudkę ziemi. Opanowała cisnące się do oczu łzy, gdy jej podano oczyszczoną z ziemi spinkę ojca. Po środku odpolerowanej do lśnienia tarczy widniał biały, emaliowany orzełek. Wzruszenie ustąpiło miejsca zdziwieniu, a potem irytacji. Nie miała złudzeń co do tego, że ojciec jeszcze przed wojną słabo odczuwał więzy łączące go z niemczyzną, a wyczyny Niemców w czasie wojny nie mogły wpłynąć na ich wzmocnienie. Po dojściu Hitlera do władzy hamował entuzjazm babki i odwiedzających go łódzkich Niemców. Kiedy ci z Rzeszy zajęli Łódź, był ostatnim, który wywiesił flagę ze swastyką, a volkslistę podpisał dopiero, kiedy przyszło dwóch takich w sztylpach i tyrolskich kapelusikach i kazali mu ze sobą iść. Nie byli to żadni wysłannicy Hitlera, ale lokalni gorliwcy Ulrichs i Löfler. Nazwiska te Ada świetnie pamięta, bo obaj panowie do dziś mieszkają w Mönchengladbach i kłaniają jej się przy spotkaniu. A wtedy babka opisała ich Adzie jako patriotów nawracających błądzącego ojca na właściwą drogę. A ojciec zamknął się w sobie. Kierował dalej fabryką i lawirował w gąszczu hitlerowskich zarządzeń, by przetrwać. Kazali mu przerobić farbiarnię na pralnię frontowych mundurów, to przerobił. Kazali kogoś zwolnić lub przyjąć, to zwalniał lub przyjmował. Ale, jeśli ktoś znał jego myśli, to chyba tylko jedna Liza, z domu Meyer. Teraz, po trzydziestu latach zmaterializowały się one w kształt artystycznie wykonanego przedmiotu. Ale artyzm jubilera stanowił tylko dodatek do treści. A tę stworzył ojciec. Adzie przyszły do głowy reminiscencje owych prawdziwych i nieprawdziwych historii o żołnierzach i skazańcach, którzy na sekundę przed bohaterską śmiercią wołają „niech żyje Ojczyzna!" i nazwę tej ojczyzny wymieniają. Ojciec nie wzniósł żadnego okrzyku, tylko założył spinki jako demonstrację... Nie! On niczego nie demonstrował, bo wobec kogo? Przecież w kartce, którą zostawił, żądał powszechnie uznanym prawem ostatniej woli, by go wchłonęła ta ziemia, na której się urodził i działał całe życie. Więc nie przewidywał, nie dopuszczał myśli o tej ekshumacji. W umyśle Ady pojawiło się przeczucie dwóch prawd jednocześnie. Pierwszej, że ulegając woli otoczenia, złamała ostatnią wolę ojca i sprofanowała grób jego, matki i siostry; drugiej, że ojciec na chwilę przed samobójczą śmiercią powiedział sobie, s o b i e, nie komu innemu, że jest Polakiem. Zanim tę pierwszą prawdę zdołała pomyśleć słowami, uciekła od niej i sformułowała tę drugą. Ale wypływał z niej wniosek ujawniający jej niechęć do ojca — Polaka, zmieniający wobec tego ex post cel jej przyjazdu do Polski. Według pierwotnego zamiaru (zamiaru rozbudzonego w niej przez tych wszystkich Ulrichsów i Löflerów) miała to być taka prywatna krucjata, mająca na celu przywrócenie „ludzkiej godności" ofiarom polskiego ucisku. Ale w historii tych rzekomych ofiar za dużo pojawiło się elementów aktywnej polskości, by można było utrzymać dawną wersję. Schowała więc spinkę z orzełkiem do torebki — nikt rozsądny złota nie wyrzuca — i poczęła wierzyć, że przywiodły ją tu wyłącznie względy rodzinne. Proces narastania tej wiary przerwał robotnik, który gorliwie dogrzebał się w piasku drugiej spinki, ale była to już ostatnia przeszkoda w jej powrocie do refleksji rodzinnych, zaprawionych dawnym uczuciem i obecnym wzruszeniem.

Niewielkie było grono tych, którzy przyszli pożegnać Rosenthalów. Czy pożegnać? — raczej skinieniem, nieznacznym ruchem ręki zwrócić uwagę tego czegoś nieokreślonego, co przechodziło z jednej mogiły do drugiej, że są, że widzą. A więc Ada w punkcie centralnym, nie opodal Dębicki, bez którego pomocy nic by się tu nie odbyło, grupka starszych mężczyzn — to emeryci, koledzy Dębickiego i jeszcze jedna grupka stojąca osobno. Ona najbardziej interesowała Adę, bowiem dwie ze składających się na nią osób trzymały wiązanki kwiatów, z których zwisały biało-amarantowe szarfy. Irytowały ją te polskie akcenty doczepiające się do tej uroczystości i wyłażące spod ziemi, więc rada była, kiedy grabarze oklepali pagórek, trzonkiem łopaty odcisnęli krzyż na wierzchu, dyskretnie odebrali napiwek od Dębickiego i zniknęli. „Lilce — druhny" i „Lilce — koledzy z AK" — odczytała rozwinięte szarfy. Całe szczęście, że ufundowany przez nią wielki wieniec oplatał mogiłę szeroką szarfą z nazwiskiem Rosenthalów, bo inaczej mogłoby wyglądać, że przyjechała tu z Bundesrepublik, by zorganizować demonstrację na cześć swojej niesfornej, zaangażowanej w polskie sprawy siostry.

Popołudnie spędziła Ada w pokoju hotelowym. Pod lampą na stoliku nocnym leżały wymyte z ziemi — broszka i spinki. Spinki ją irytowały, czuła, że trzeba będzie coś z nimi zrobić. Przecież, gdy tylko wróci, zjawią się tłumnie, by ją wypytać o szczegóły ekshumacji, o wygląd miasta nie widzianego już dziesiątki lat, o wszystko... Natomiast widok broszki budził w niej ciepłe uczucia i żal.

We wrześniu, kiedy większość Niemców dała upust radości z wybuchu wojny i absolutnie pewnego zwycięstwa, ojciec się zasępił, a Lilka przepadła na dobre. Podobno opatrywała rany w szpitalu na Żeromskiego. W domu zjawiła się brudna i wyczerpana wtedy dopiero, kiedy już flagi ze swastyką wisiały nad bramami. I teraz te wydarzenia sprzed trzydziestu kilku lat układały się w szereg szybko po sobie następujących, jak na taśmie filmowej obrazków. Ślub Lilki ze Stasiem Kajzerbrechtem i ich wyjazd do Protektoratu. A potem przyszła wiadomość, że oboje siedzą w więzieniu na Radogoszczu. Złoto Rosenthalów i Kajzerbrechtów sprawiło, że Staś został wcielony do wehrmachtu, a Lilkę zwolniono. Wiadomość, że on „zginął za ojczyznę", była kolejnym ciosem, jaki otrzymała. Brała odwet po swojemu w tajemnicy, myląc tych, co ją mieli na oku. I myląc najbliższych. Ada niejasno pamiętała rozmowy prowadzone w domu po ponownym aresztowaniu Lilki. Przyszli po nią dlatego, że nie zjawiła się na konspiracyjnym zebraniu, które organizował nauczyciel gimnazjum Piłsudskiego Lorentz. Wiedzieli, że miała przyjść. Skoro nie przyszła, ktoś ją ostrzegł. Kto? Za to, że nie powiedziała, przesiedziała do końca wojny na Gdańskiej.

Nie było wtedy łatwo lawirować, jeżeli się należało do rodziny Rosenthalów. Toteż Ada wraz z mężem i córeczką wyjechała do Rzeszy. Kiedy się skończyła wojna i koszmar pierwszych powojennych miesięcy, inni emigranci z Łodzi przywieźli jej wiadomości sprzeczne i niejasne, ale jedno z nich wynikało ponad wszelką wątpliwość — tragiczne samobójstwo rodziców i Lilki.

I tak się skończyła saga Rosenthalów. Ponuro i tajemniczo. Kiedy tak leżąc w hotelowym pokoju doszukiwała się znaczeń w strzępach uzyskanych informacji i w swojej wiedzy o rodzinie, wydało jej się naraz, że jednak możliwe jest wyjaśnienie wszystkiego i to przez samą Lilkę. W czasach dzieciństwa korzystały czasami z umówionego schowka na strychu, za belką. Jeśli Lilka gdzieś nagle przepadła, Ada znajdowała tam niekiedy kartkę z jakąś gryzmołką, cukierek, a raz figę, autentyczną figę posypaną makiem. Czyżby Lilka nie miała przed zaplanowaną śmiercią chęci do zwierzeń?

Ada zerwała się z tapczanu, ubrała się i poprosiła recepcję o zamówienie taksówki i zjechała na dół pełna emocji od domysłu. Pokazała kierowcy karteczkę z adresem Dębickiego i pojechała, niecierpliwiąc się, że nie dość szybko.

— *Dlaczego oni to zrobili?*

Dębicki nie raz się nad tym zastanawiał. A odpowiedział nie od razu, bo on też czuł dystans ich dzielący, chociaż nie patrzał na nią jak przed wojną, na córkę prezesa. Myślał, czy warto wdawać się w rozmowę, której ona może nie zrozumieć. Ale dosłuchał się zmęczenia w jej głosie, zagubienia w trudnych przecież sprawach życia i śmierci i odpowiedział.

— *Lilka wróciła z więzienia z taką gruźlicą, że jej dni były policzone.*

— *A ojciec, matka?*

— *Pan prezes miał dwie córki, proszę pani. Jedną zamęczyli Niemcy, druga poczuła się Niemką.*

— *Myśli pan, że to dlatego? Przecież zabrali mu majątek...*

— *Tylu fabrykantom zabrali majątki i żaden nie popełnił samobójstwa. Może w tych spinkach jest odpowiedź? Czuł się Polakiem, a dość był mądry, by wiedzieć, że w tamtych czasach kapitaliście trudno było być Polakiem. A nie widział dla siebie miejsca na Zachodzie, wśród Niemców. Więc wybrał to miejsce pod lipą, na ziemi, na której się urodził.*

— *To może ja źle zrobiłam, że ich stamtąd zabrałam...*

— *Proszę pani, tych rzeczy nie robi się dla tych, co umarli. Ale dla tych, co żyją.*

Ada wpadła w zadumę. Zdawało się Dębickiemu, że do rozmowy nie wróci. Kiedy jednak taksówka zatrzymała się przed jego domem, a on otworzył drzwi, by wysiąść, przytrzymała go za rękaw.

— *Ale to, żeście wtedy dali im to miejsce pod drzewem, toście przecież dla umarłych zrobili. Nie dla żywych, nicht wahr?*

KETMAN
albo rzeczywistość zastępcza

Dalszy ciąg ze str. 1

powieści politycznej tkwią w jej aktualności. Nietrudno skonstatować, iż z tym właśnie elementem pisarze nie poradzili sobie, i to niekoniecznie z własnej woli czy winy. Niektóre sfinalizowane próby kończyły się podobnie do dziejów „Małowiernych" Jerzego Putramenta. Inne — zwłaszcza w drugiej połowie lat siedemdziesiątych — pozostawały poza obiegiem oficjalnym. Nic więc dziwnego, że w momentach szczególnego zapotrzebowania na powieść polityczną rolę jej przejmowały formy paraboliczne, zakamuflowane. Tak działo się na przykład z przypowieściami Jerzego Andrzejewskiego „Ciemności kryją ziemię" oraz „Bramami raju" po roku 1956 czy z „Mszą za miasto Arras" Andrzeja Szczypiorskiego po roku 1970. Nie było to jednak wystarczające wyjście z sytuacji. Czytelnik po prostu spragniony był (i jest) konkretu.

Bądźmy sprawiedliwi: powieść polityczna w minionym dziesięcioleciu jakoś tam istniała. Sposób jej istnienia wyznaczała ogólna sytuacja i parę czynników szczegółowych, przeważnie zresztą znanych najszerszym uczestnikom życia literackiego, to znaczy publiczności czytającej. Nie ma więc potrzeby zagłębiania się w te szczegóły. Tym bardziej, że życie próżni nie znosi i wykształciło formy niejako zastępcze, spośród których w ostatnich latach pewną popularność zyskała tak zwana powieść dyrektorska (na przykład „Surmak" Jerzego Jesionowskiego), powieść sekretarska (w rodzaju „Hotelu klasy Lux" Michała Jagiełły) oraz stylizowany pamiętnik z teraźniejszości („Kalendarz i klepsydra" Tadeusza Konwickiego czy „Pamiętnik moich książek" Romana Bratnego). Konkret najlepiej oczywiście przedstawiał się w pamiętnikach, ale często uwadze umykały generalia. Występowały one wprawdzie w powieści dyrektorskiej czy sekretarskiej, lecz na stosunkowo niewysokim (zazwyczaj powiatowym) szczeblu. Konsekwencją tego było mniejsze zainteresowanie czytelników.

Jedną z bardziej udanych powieści politycznych, jakie ujrzały światło dzienne w latach siedemdziesiątych jest „Pole niczyje" Zbigniewa Safjana (1976). Osadzone w realiach końcowych lat Drugiej Rzeczypospolitej przedstawiało legionową elitę i ostatnie miesiące życia Walerego Sławka. Od faktów ważniejsze jednak stawały się motywy działań, od realiów ważniejsze okazywały się mechanizmy — tak więc „Pole niczyje" jako klasyczny okaz powieści politycznej zyskiwało bardzo przychylne opinie krytyków. Zabrakło tylko jednego — aktualności. Ta stała się udziałem wydanej pięć lat później „Ulicy Świętokrzyskiej".

3

„Ulicę Świętokrzyską" podpisano do druku we wrześniu 1980 roku, a więc w bezpośredniej bliskości miesiąca, który stał się kolejnym polskim symbolem. Wspomniana bliskość obecna jest — choć może nie wprost — na kartach powieści. Przejawia się społecznym niezadowoleniem wobec oderwania się tak zwanych „decydentów", atmosferą strajkową. Nawet jeśli niektóre fragmenty dopisał autor w okresie burzliwych sierpniowych dni — to tylko postawił kropkę na „i".

„Ulica Świętokrzyska" — książka ze wszech miar na czasie — po raz kolejny odsłania słabość naszej współczesnej literatury. Bo nawet ambitna próba społecznych diagnoz i rozrachunków nie może obejść się bez koncesji na rzecz stereotypów wykształconych w ciągu minionego trzydziestolecia. Jak to się dzieje, chciałoby się zapytać, że najciekawszą, najbardziej ludzką, zwyczajną, choć i tragiczną zarazem, postacią sekretarza w powojennej literaturze polskiej pozostaje w dalszym ciągu Szczuka z „Popiołu i diamentu"? Zasługa to czasu, w którym utwór ten powstał, czy zasługa talentu Jerzego Andrzejewskiego?

Prawdę mówiąc, chodzi mi nie tyle o stereotypy literackie, co o stereotypy natury społecznej. Pomijam nawet obrazową typowość (ilustracyjną) rodowodów bohaterów „Ulicy Świętokrzyskiej", zwłaszcza, iż nie posiada ona wyrazistości ludzi z „marmuru" czy z „żelaza". Problem tkwi gdzie indziej: czy naprawdę nie ma wyjścia z dylematu — zmieszczanieć albo pozostać w roli ascetycznego odludka? „Ulica Świętokrzyska" jeśli problem ów rozwiązuje to nie wprost i raczej dyskretnie, zmieszczanienie wydaje się po prostu zjawiskiem tak częstym, że niemal nieuniknionym. To z tej właśnie perspektywy „wstrząs staje się wstrząsikiem, a wątpliwość wątpliwostką, wielkość budowy i wysiłku też staje się problematyczna. Dotyczy to także historii. Jak często woli się, by wojna stała się wojenką, a rewolucja miłym zwrotem dokonanym ku powszechnemu zadowoleniu, z mądrym umiarem, bez krwi, cierpień, błędów, zbytecznych śmierci i nadmiernych poświęceń. Grzeczna idealizacja socjalizmu i historii doprowadziła do tego, że każdą trudność, każdy wstrząs traktuje się jako coś niezwykłego i wstydliwego, a nie — element normalnego rozwoju". A gdy rzeczywistość nie pasowała do ideałów czy wyobrażeń — tym gorzej dla rzeczywistości...

W książce Safjana mamy do czynienia z Ketmanem, choć określenie to, rzecz prosta, nie pada ani razu. Ale niczego innego nie oznacza przecież Instytut Rzeczywistości Zastępczych (twór umowny i hipotetyczny który „posługując się konsekwentnie wszystkimi dostępnymi środkami: prasą, sztuką i kulturą" dokonuje wyraźnego paraliżu myśli i woli, ratuje i przedłuża sztucznie „dobre samopoczucie rządzących i zaufanie rządzonych".

Nie bez kozery odwołałem się do etyki. Moralność zdaje się bowiem interesować Safjana bardziej niż samo życie polityczne. Tyle tylko, że ze świecą szukać w „Ulicy Świętokrzyskiej" indywidualnych decyzji etycznych, a co za tym idzie — kwestia odpowiedzialności wygląda rozmaicie. Rzecz przypomina po trosze lawinę: jedna decyzja uruchamia następną, ta pociąga kolejną itd. Skutki? Wiadomo, czym się lawina zazwyczaj kończy. A czy wspomniany mechanizm nie wynika z przestrzegania reguł Ketmana?

Interesujące pod pewnym względem okazują się proporcje — tylko jednego z bohaterów „Ulicy Świętokrzyskiej" stać na honorowe (acz w pełni tragiczne) wycofanie się z politycznej gry, gdy w jakiejś mierze odstąpił od zasad moralnych, którym wcześniej hołdował. Wszyscy inni w mniejszym lub większym stopniu potrafią przybrać barwy obronne.

W powieści Safjana znajdujemy również gorzkie refleksje o zjawisku, określanym stereotypowo jako literatura zaangażowana. Postać pisarza Rosowskiego, usiłującego pogodzić ambicje artystyczne z chęcią wypełniania oficjalnego zamówienia, pisarza dążącego do ostatecznego pokonania niewiary w bezpośrednią skuteczność literackiego ulepszania rzeczywistości, jest nie mniej dramatyczna i kontrowersyjna niż postaci polityków.

4

Posądzanie autora „Ulicy Świętokrzyskiej" o tendencje rozrachunkowe byłoby jednak pewnym nadużyciem, daniem upustu emocjom wyczekiwania, zrodzonym raczej z rzeczywistości pozaliterackiej. Ta książka. Książka ta przecież może okazać się zwiastunem, nieść może nadzieję, iż tendencji takich — rzetelnie pojętych — powinniśmy się spodziewać.

Bo przecież ciągle spodziewamy się przezwyciężenia Ketmana w literaturze. A to w decydującej mierze zależy od przezwyciężenia Ketmana w całym naszym życiu.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

CAŁE ŻYCIE MARCINA CHOŁOŚNI

Jakże trudno opisać jest jednostkową biografię bohatera, która stanowić ma wypadkową biografii tysięcy takich jak on, czyli ludzi żywych, doświadczonych przez życie, przez wydarzenia historyczne, które kształtowały ich świadomość i postawy, a równocześnie w sposób dość anonimowy realizowane były właśnie przez tych ludzi. Jakże trudno jest usytuować tego bohatera w splocie dramatycznych wydarzeń, które dopiero z perspektywy czasu układają się nam w jeden logiczny ciąg przyczyn i skutków konsekwentnie ze sobą powiązanych. Ale może właśnie dlatego logiczność ta daje o sobie znać dopiero w powieści, gdzie drogą odpowiedniej eliminacji można jednostkowe losy bohatera zsynhronizować z wydarzeniami, których był bądź świadkiem, bądź uczestnikiem, a tym samym kreatorem. Wówczas wszystko co w rzeczywistości stanowi konsekwencję przypadku, w powieści nabiera cech celowości, zaczyna być „żywym wiązaniem" biografii bohatera.

Oczywiście takie ustawienie zapisu biograficznego bohatera ułatwia, ale równocześnie i utrudnia pracę pisarza, który nieustannie musi pamiętać o Norwidowskiej maksymie, iż: *„Przeszłość — jest to dziś, tylko cokolwiek dalej..."*. Przeszłość, która łatwo poddaje się deformacji, zafałszowaniu, a tym samym zniekształceniu prawdziwego obrazu ówczesnej rzeczywistości. Stąd może tak trudno jest pisać jakąkolwiek powieść najbardziej współczesną, która jednakże w istocie swej ma być powieścią historyczną, bo dotyczącą faktów i zdarzeń realnych, w które bohater nasz jest wpisany jedynie i to nie na zasadzie ozdobnika, anegdoty fabularnej, ale rzeczywistego łącznika między dawnymi a nowymi czasy.

Nic też dziwnego, że Jan Maria Gisges swoją najnowszą powieść *„Ptaki, ptaki..."* zaopatrzył w miniprzedmowę — swoiste credo pisarza, który chciał ukazać zaledwie wąski wycinek biografii swego pokolenia zaczynającej się z początkiem naszego stulecia. Pokolenia, któremu dane było nie tylko przeżyć, ale i bezpośrednio uczestniczyć w dwóch wojnach, Wielkiej Rewolucji Październikowej, dramatycznych wydarzeniach dwudziestolecia międzywojennego i co tu ukrywać, nie mniej dramatycznych zdarzeniach trzydziestopięciolecia powojennego.

Pamiętać przy tym należy, iż dzieje biograficzne tego pokolenia nie zaczynają się w momencie jego zaistnienia, ale sięgają korzeniami wstecz, w wiek dziewiętnasty, w tradycję wyznaczoną przez kolejne zrywy powstańcze, rewolucje, bunty chłopskie, strajki robotnicze, rodzenie się nowych wartości ideologicznych i światopoglądowych, które pełną realizację znalazły dopiero w naszych czasach. Stąd nie dziwmy się, iż autor powieść swoją określa mianem legendy, *„...w której bunty, marzenia i walki Polaków są szukaniem ojczyzny, własnej Polski..."*. Ale ma też i niewątpliwie rację, kiedy stwierdza, iż powieść ta: *„...po trosze jest historią, którą niby stara strzecha, pokrywająca się mchem, obrasta mitami — wiek XIX i wiek XX przybliżają się z mglistego oddalenia i jawi się w nich niespokojny, tragiczny, lecz pełen fantazji polski los"*.

Inna sprawa iż trudno jest tutaj mówić o fantazji, kiedy biografia bohatera powieści Marcina Chołośni osadzona jest w realiach historycznych wydarzeń uzasadniających niełatwą drogę dochodzenia do własnego widzenia świata i losu ludzkiego zdeterminowanego nie wewnętrznymi rozmyślaniami, ani też wielkimi krasomówczymi sporami światopoglądowymi, ale wydarzeniami, które nieustannie nakazują jednoznacznego opowiedzenia się po tej lub po tamtej stronie ideologicznej barykady. Nie ukrywajmy przy tym, ale jak dotychczas nasza literatura nazbyt jednostronnie zmitologizowała biografię tego właśnie pokolenia, kreując obrazy czarno-białe, na których nie ludzie żywi, lecz marionetki wygłaszają w sposób płomienny i kwiecisty, bądź wyuczone kwestie rewolucjonistów, bądź reakcjonistów. A przecież to właśnie historia uczy nas, że nic się nie odbywało w sposób jednoznaczny, z góry zaplanowany, i że jeśli historię tworzą żywi ludzie, to właśnie oni najbardziej przyczyniają się do doraźnych zwycięstw lub klęsk nawet najbardziej słusznych idei.

Marcin Chołośnia do swojej rewolucyjności, do swojego bycia komunistą, dochodzi nie poprzez abstrakcyjne rozważania i filozoficzne dywagacje, ale poprzez uczestniczenie w wydarzeniach, które ukazują mu w sposób jednoznaczny racje ideologiczne, słuszność angażowania się w istotę rewolucji, czyli w walkę klasową. I nie oznacza to, aby ten prosty, galicyjski kolejarz, który u początku swej życiowej drogi jakże wiele ma wspólnego z bohaterem Wittlinowskiej *„Soli ziemi"*, nie miał swoich załamań i wahań, dramatycznego rozdarcia między poczuciem patriotyzmu wyznaczanego przez szlacheckie tradycje zrywów powstańczych a patriotyzmem czysto chłopskim, który właśnie w wieku dziewiętnastym wypracował sobie zupełnie odmienny rodowód. Ale może stąd, już po powrocie do Polski, po rewolucyjnym „terminowaniu" w wydarzeniach Rewolucji Październikowej odbytym gdzieś w głębi syberyjskiego krajobrazu, stanie się Chołośnia świadomym komunistą, człowiekiem, który zrozumie, że patriotyzm nie jest pojęciem jednoznacznym, i że właśnie w jego przypadku zawiera również pojęcie klasowe.

Gisges poprzez los Chołośni chciał ukazać jedną z licznych dróg dochodzenia do komunizmu ludzi swego pokolenia wywodzących się ze wsi, zakorzenionych w niej poprzez tradycję, a równocześnie przynależących przez wykonywaną pracę do klasy robotniczej. Co prawda nie w pełni jasno ukazany został psychologiczny portret bohatera, jego stawianie się marksistą. Myślę jednak, iż na przeszkodzie stanęła tu pisarzowi wciąż niejednoznaczna ocena w naszej współczesnej historiografii całokształtu dziejów ruchu robotniczego w Polsce, wciąż jeszcze obowiązujące przemilczanie pewnych faktów i nazwisk. A może po prostu mimo wszystko wciąż jeszcze jest za wcześnie na uogólniający jednorodny portret Polaka — komunisty z pokolenia, któremu dane było tak wiele przeżyć goryczy i rozczarowań, a równocześnie wzlotów i sukcesów. Tylko, że taki to już jest zawsze los powieści współczesnej traktującej o przeszłości rozumianej w kategoriach Norwidowskich.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Jan Maria Gisges: Ptaki, ptaki... Czytelnik, Warszawa 1981 r. s. 355.

EWA KATARZYNA NOWAK

O nauce i poezji
(NA MARGINESIE KSIĄŻKI WITOLDA PARNIEWSKIEGO „MAJAKOWSKI — FASCYNACJA I UPÓR")

Komparatystyka literacka coraz częściej staje się obiektem zainteresowania naukowców i zdobywa sobie samodzielne wysokie miejsce wśród innych gałęzi wiedzy filologicznej. Zwykle jednak rezultaty badań i w tej dziedzinie trafiają jedynie do rąk zainteresowanych specjalistów, publikowane są w niskich nakładach, a także często pozostają wyłącznie w maszynopisach. Rzadko opracowywane są w formie popularnonaukowej i docierają do szerszego grona czytelników.

Wydaje się, że z istoty swojej prace komparatystyczno-literackie szczególnie predestynowane są do tego by zainteresować większą grupę odbiorców, a to dzięki swemu interdysyplinarnemu podłożu. Kwintesencja bowiem literaturoznawcza nie istnieje sama przez się i sama z siebie nie wynika, lecz ukształtowana jest przez wielorakie zjawiska natury historyczno-cywilizacyjnej: polityczne, socjologiczne, filozoficzne, kulturowe. I odwrotnie: stanowić może punkt wyjścia do badania powyższych kwestii, co właśnie na styku kultur i literatur, na płaszczyźnie przenikania i wzajemnego oddziaływania na siebie rozlicznych prądów i tendencji prowadzi do wniosków niezwykle interesujących, wydobywa treści i wartości ukryte u podłoża wielu zjawisk, tłumaczy fakty, na pozór samoistne.

Pracę literaturoznawcy-komparatysty przyrównać można do pracy detektywa — bo jest to szukanie śladów „inności", wiązanie z poszlak i okruchów faktów łańcucha przyczynowo-skutkowego, który doprowadził do utworzenia określonych treści i form.

Książka Parniewskiego ukazuje właśnie przyczyny, dla których pewne utwory literatury polskiej przybrały taki a nie inny kształt artystyczny. Nie jest to więc proste sprawozdanie z recepcji twórczości Majakowskiego w Polsce. Wnioski idą dalej.

Inspiracja ekspresji Majakowskiego jest wyraźna w odniesieniu do wielu utworów o różnym charakterze — od polemicznego po panegiryczny. Widoczna jest pod postacią przekładu utajonego, refleksami w samodzielnej twórczości poetów, w stworzeniu kanonu pisania a la Majakowski w latach 50 Wpływowi Majakowskiego ulegali poeci polscy spod różnych znaków — skamandryci, futuryści, poeci rewolucyjni, lewicujący poeci okresu II wojny światowej i „pryszczaci". Trwało to kilka dziesięcioleci. O ile wczesna inspiracja miała charakter twórczy, to późniejsze były wtórne, doprowadzając w latach 50 do kanonu obowiązkowej „Majakowszczyzny".

Problematyce związków poezji polskiej i rosyjskiej XX wieku poświęcono dotychczas kilka prac badawczych, ujmujących również aspekt znaczenia twórczości Majakowskiego dla tych kontaktów i większość tych opracowań uwzględnił autor omawianej książki. Trochę statystyki: najwięcej uwagi udzielił autor wcześniejszemu okresowi powiązań — latom 1919 (pierwszy przekład „Obłoku w spodniach") — do II wojny światowej włącznie: 80 proc. tekstu, natomiast wszystkie lata powojenne opisuje 20 proc. tekstu. Zestawienie znamienne: inspiracja jakościowa pierwszego 26-lecia, twórcza, wymagająca wielostronnego rozpatrzenia doprowadziła w końcowym efekcie do powierzchownego, formalnego naśladownictwa z Majakowskiego koncepcją sztuki nie mającym nic wspólnego.

Historyczno-literackie ujęcie tematu z samego założenia raczej marginalne traktuje tę część problematyki powiązań literackich, którą zajmuje się teoria literatury. A i pod tym względem wpływy Majakowskiego (jak i innych współczesnych mu poetów, szczególnie symbolistów) są znamienne. Zaznaczają się one w obrębie wersyfikacji (chodzi szczególnie o wiersz czysto toniczny — wiersz nieregularny ewoluujący w stronę wiersza wolnego), rymotwórstwa (rymy niepełne, złożone, asonantyczne itd.), metaforyki, składni i leksyki poetyckiej.

Książka Parniewskiego pozwala zrozumieć wiele fenomenów poezji w latach jej burzliwego rozwoju.

Cieszy fakt, że owoc specjalistycznych badań literaturoznawczych tym razem, przybierając formę popularnonaukową, znalazł drogę do rąk większego grona odbiorców.

P.S. Gdyby Melchior Wańkowicz zapoznał się z tą książką, zapytałby z całą pewnością: „Dlaczego brak indeksu?"

Ubóstwo kulturalne dawnej Łodzi polega m.in. na tym, że nie pisano tu pamiętników. Alfons Parczewski pokazał fragment Łodzi popowstaniowej w swoich wspomnieniach, Artur Rubinstein poświęcił kilka stron ulicom, po których chodził w dzieciństwie i podobno jest jeszcze jakiś pamiętnik, prawem kaduka ukryty w zbiorach prywatnych. Poza tym — kiedy zbierałem materiały do moich książek poświęconych miastu (Sukiennice nad Łódką, Za płotem Paradyżu, Muzy przy krosnach), udało mi się uzyskać trochę autentycznych relacji z przełomu stuleci, z czasów Rewolucji 1905 r., z czasów I wojny. I to wszystko. Tym więc cenniejsze są choćby urywki wspomnień, na jakie się czasami przypadkowo trafia.

Jedną z ciekawszych i bardziej obrosłych historią dzielnic Łodzi jest Widzew. Koloryt dawnego Widzewa w sposób interesujący przedstawiają wspomnienia widzewianki, rozmiłowanej w tym kawałku Łodzi, w którym się urodziła i spędziła część swego długiego życia, pani Karoliny Pigułowskiej-Buchalczyk.

J. URBANKIEWICZ

widzewianka o sobie

KAROLINA PIGUŁOWSKA -BUCHALCZYK

Z opowiadań Matki mojej wiem, że światło dzienne ujrzałam w mieszkaniu na I piętrze środkowej oficyny fabrycznego osiedla *Heintzla i Kunitzera* na Widzewie (nie wyburzony na razie dom przy ul. Szpitalnej 10). Nie wróżka, a położna fabrycznego szpitala widzewskiego, *Leokadia Strzelecka*, powiedziała: „Urodziła się w czepku — będzie szczęśliwa..." Z okien tego mieszkania, wychodzących na pole *Zyndermana* i pierwszy las widzewski (wycięty został podczas I wojny światowej), jako 3-letnie dziecko, przed wieczornym myciem domagałam się zobaczenia „nocki", chowającej się za las lub czarną chmurę słońce...

Z drewniaka przy ul. *Kunitzera* (Niciarniana) — we wspomnieniach nazywam go „mój domek pod topolą" — wyniosłam pierwsze wspomnienia dzieciństwa na Widzewie. Pół domku — wspólna sień — zajmował na kancelarię i mieszkanie rewirowy *Jegorow*. Ojciec zabronił nam, dzieciom, bawić się nawet pod naszymi oknami... a jednak byłam świadkiem scen nie do zapomnienia przez dziecko!... Strażnicy z sieni „mojego domku" wyprowadzili, popychając, wysokiego mężczyznę bez czapki; do związanych z tyłu rąk miał przywiązany tłumok — bili go po plecach i głowie! Mnie — po zabawie przed trzecim domkiem (mieszkała tam rodzina artysty grawera fabryki *H. i K. Steckiego*) odprowadzała koleżanka-rówieśnica, *Tola Stecka*; widząc, co się dzieje, uciekła, ja zaczęłam głośno płakać... Wyszedł *Jegorow*, pogłaskał mnie po główce, powiedział: *„Nie płacz, dziecko* (mówił po polsku), *to zły człowiek. Ukradł biednym ludziom wszystko, co mieli"* I zaprowadził mnie do Mamy!...

Ojciec mój, włókniarz z zawodu, był jednym z dwóch „salmajstrów" tkalni H. i K. na Widzewie, nazwisko drugiego „salmajstra" — *Dobrzański*, „obermajstrem" w tym okresie był *Komornicki*, dyrektorem tkalni — *Jeziorkowski*...

Ojciec mój rpzyniósł wiadomość, że żona *Kunitzera* otwiera ochronkę dla dzieci pracowników. Matka moja zapisała mnie i starszego brata, *Stefana*. Ochronka czynna była tylko jeden rok. W ochronce p. *Kunitzerowej* (nazwanej przez mojego Ojca „kaprys fabrykantki") odbyła się pierwsza i jedyna gwiazdka zbiorowa z atrakcjami: pod choinką do sufitu — żłobek na śniegu z waty, obok skrzynia z pączkami, druga z paczkami dla dzieci... i pierwsza w moim życiu nagroda-wyróżnienie. Wśród trójki dzieci nagrodzonych za recytację wierszy przed „patronką", ja i *Irka Mrukówna*, z rąk p. *Kunitzerowej* dostałyśmy duże śpiące laki. Trzecim z wyróżnionych był *Zygmuś Baranowski* (syn starszego fabrycznego felczera — *Stanisława Baranowskiego*). *Zygmuś* dostał kolorowe klocki...

Nieco o wyróżnionych w dzieciństwie widzewiakach: *Zygmuś* — pierwszy z widzewiaków, został księdzem. Ksiądz *Zygmunt Baranowski*, proboszcz parafii Staromieście w Lelowie, zmarł niedawno. *Irka Mrukówna* została żoną *Jana Augustyniaka* — widzewiaka z kunitzerowskich drewniaków, jednego z nestorów bibliotekarstwa polskiego. (Prof. *Jan Augustyniak*, organizator, pierwszy dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. ł. Waryńskiego w Łodzi). *Irena z Mruków Augustyniakowa*, w okresie międzywojennym wybitna działaczka społeczna, w latach 1936—1939 kierowniczka oświatowa Polskiego Białego Krzyża na Okręg Łódzki, w czasie wojny komendantka, kapitan AK, ps. *„Oleńka"* Okręgu Krakowskiego Pomocy Żołnierza, współorganizatorka akcji pomocy więźniom obozów koncentracyjnych.

Irena została po śmierci męża w mieszkaniu z muzealnym wnętrzem, w Łodzi przy ul. 1 Maja 28. Często bywałyśmy same — okazja do wspomnień o Widzewie... Kiedyś, na wesoło odtworzyłyśmy gwiazdkę w ochronce p. *Kunitzerowej! Irena* pamiętała swój wiersz: *„Dzień dobry, panie filu"*, ja swój: *„Pucu, pucu, chlastu, chlastu, nie mam rączek jedenastu..."* Po recytacji z ukłonami przed p. *Kunitzerową* była nagroda — w postaci herbaty i ciastka... Wspominałyśmy naszą kochaną pierwszą nauczycielkę, p. *Kunert*, ze szkoły dla dziewcząt i nauczycieli — nerwusa p. *Wyganowskiego* i kierownika p. *Marynowskiego*. II i III oddział, już koedukacyjny, w pierwszej lewej oficynie murowanego osiedla...

...Wracałyśmy do wydarzeń na szosie Rokicińskiej podczas Rewolucji 1905 roku. Widziałam z okna naszej kuchni nad portiernią, jak przy oknie swojego gabinetu godzinami siedział rewirowy *Martynow!*... Wspominałyśmy przeżyte przez nas emocje odbywających się w naszych mieszkaniach rewizji przez carskich żandarmów i zabranie przez nich do więzienia matki *Ireny, Marianny z Mroczkowskich Mruk* i mojego brata, *Wacława*! Woziłyśmy paczki z bielizną i obiady dwa razy w tygodniu — *Irena* matce do więzienia przy ul. *Długiej* (Gdańska 13), ja — bratu na ul. *Nowocegielnianą*.

...W 1907 roku, na podstawie świadectwa ukończenia 4-letniej szkoły fabrycznej, bez egzaminu zostałam przyjęta do I klasy prywatnej 4-klasowej „pensji" p. *Marii Szczyglińskiej*. Szkoła i jej mieszkanie zajmowały dwa połączone lokale I piętra stojącej do dziś kamienicy przy ul. *Nawrot* 42. Ustępy w podwórzu! W czerwcu 1908 roku, z I nagrodą, przeszłam do klasy II. Czesne 70 rubli! Matce mojej udało się przekonać Ojca argumentacją: *„Uczy się dobrze, może zda do rządowego gimnazjum, pełne prawa, we wszystkich klasach 55 rubli rocznie; już za dwoje* (starszy o dwa lata brat, *Stefan*, w gimnazjum Witanowskiego w II klasie, 130 rubli) *trudno nam płacić — za rok Stasia* (najmłodsza) *kończy fabryczną szkołę. Po ukończeniu szkoły prywatnej dla zdobycia posady nauczycielki, czy innej, obowiązuje i tak egzamin państwowy.*

Z metryką urodzenia i chrztu — jedyny dokument wymagany od kandydatek do *„Łodzinskoj Żenskoj Gimnazji"* Matka mnie wysłała. Warunki, w jakich rosłam, wyzwalały samodzielność... I doczekałam w Łodzi roku 1981!

Przypominam sobie scenerię, w jakiej zdawałam mój pierwszy w życiu egzamin konkursowy. Na odcinku ul. *Średniej* (Nowotki) jezdnia brukowana „kocimi łbami". Przed budynkiem ze złotym carskim godłem, w najwyższej części stylowego frontonu, stangreci w liberii zatrzymują powozy, jest i kareta. Wysiadają damy w wielkich kapeluszach, długie do ziemi suknie. Na piersiach zegarki na grubych, złotych łańcuchach, na rękach ażurowe mitinki-rękawiczki bez palców, na nich złote bransolety. Z nimi kandydatki do I klasy. Na chodniku, przed furtką w ogrodzeniu — tłok. Matki, babcie, guwernantki, korepetytorki, korepetytorzy. Ja, z Widzewa, przyjechałam sama „dziesiątką". *„Niania"* — woźna w szatni, widząc, że jestem sama, kazała mi zdjąć kapelusz, położyć na półce z ładnych, lakierowanych prętów. Przysłuchując się przekazywanym przez umundurowanego woźnego informacjom, trafiłam do wyznaczonej klasy dla kandydatek z nazwiskami rozpoczynającymi się od *„bukwy" „p"*...

Konkursowy egzamin zdałam na piątki, przyjęta zostałam do klasy Ic. Na klasę tę przeznaczona została sala śpiewu i muzyki cerkiewnej, z niej było wejście na chór, wsparty kolumnami w auli na I piętrze. Za rozsuwaną, ciężką kotarą koloru bordo był ołtarz prawosławny...

Program tego gimnazjum, z wykładowym językiem rosyjskim, przewidywał naukę trzech obcych języków: niemiecki 4 godz. w tygodniu — obowiązkowy, francuski 4 godz. — nieobowiązkowy, polski nieobowiązkowy, tylko 2 godziny w tygodniu... Świadomi byliśmy braków wiadomości z historii, geografii i literatury polskiej Staraliśmy się te braki uzupełniać! Współpraca tajnych młodzieżowych kółek żeńskiego i męskiego gimnazjum w Łodzi polegała na wymianie zdobytych nie cenzurowanych książek, na spotkaniach z dyskusją. W dzienniku uczennicy, ucznia, § 23 przepisów: za przynależność do młodzieżowych organizacji — natychmiastowe wydalenie z „wilczym biletem", § 15 zobowiązywał do posługiwania się w murach gimnazjum wyłącznie językiem rosyjskim. A było wręcz przeciwnie. Za małymi wyjątkami — od najmłodszych do ostatnich klas, po dzwonku na przerwę, w klasie i na korytarzach mówiłyśmy między sobą po polsku. Skład zaś narodowościowy był w roku 1912 taki: ogółem uczennic — 803, w tym: prawosławnych — 114, katoliczek — 78, ewangeliczek — 89, wyznania mojżeszowego — 522.

Dyrekcja Wielkiego Teatru przy ul. *Konstantynowskiej* (Obrońców Stalingradu), w trosce o młodzież uczącą się w rządowych szkołach i dla zasilenia kasy, zwracała się do dyrekcji szkół średnich z propozycją urządzania popołudniowych przedstawień. Na jednym z takich przedstawień poznałam *Tuwima*. Okazało się, że i on (po publikacji jego wierszy w warszawskiej prasie) — należał do tajnego kółka uczniów męskiego gimnazjum przy ul. *Mikoła jewskiej* (Skienkiewicza). Należeli tam również: *B. Daberhut, K. Roszkowski, W. Wandurski, K. Okraszewski*. Wśród młodzieży polskiej, uczącej się w rządowych szkołach, nietolerancji nie było, ale... na randki z Żydami, Niemcami, Moskalami się nie chodziło, na potańcówki też nie byli zapraszani. Były to lata 1912, 1913, 1914...

Jesienią 1912 roku Ojciec mój objął kierownictwo nowo wybudowanej fabryki w Grodzisku Mazowieckim. Aby skończyć gimnazjum, zostałam w Łodzi, mieszkałam nadal na Widzewie. Pierwsza wojna miotała mną po świecie, ale wróciłam do Łodzi — znów na Widzew.

BYŁO I TAK I SIAK

Mieczysław Woźniakowski

Gdyby spróbować ogólnej charakterystyki młodzieży: Najbardziej rzucająca się w oczy cecha to chyba jej ogromne zróżnicowanie. Wiek 14—20 lat (czasami — z ogonem), smyki, które gdzieś w Generalnej Guberni na tajnych kompletach ukończyły szkołę powszechną, lub tacy, którzy nigdzie się nie uczyli, przed wojną ukończyli jakieś tam klasy, co jednak zdążyło już im z głów zupełnie wywietrzeć.

Wnosili ze sobą pasję działania organizacyjnego, niesłychanie aktywny stosunek do wszelkich poczynań, byli wręcz oszołomieni: (na równi ze swymi nauczycielami zresztą), że po tylu latach pogardy, klęski i wyniszczenia — otośmy znowu razem w polskiej szkole.

Jak cały naród i oni odbudowywali swoje uczniowskie życie. Byli swego narodu odbiciem. Jego otumanienia i rozbicia politycznego również.

Dużo barwy przydawały szkole chór i orkiestra.

Być może mam na tym punkcie ćwieka, ale zawsze uważałem, że w szkole musi znaleźć się miejsce na muzykowanie i śpiewanie. Nasi uczniowie wybierali zasadniczo studia na dwóch uczelniach. Politechnika i medycyna (Wydział Lekarski UŁ, czy później — Akademia Medyczna.

Zawsze wyznawałem zasadę, że najwybitniejszy lekarz, czy najznakomitszy technik będzie człowiekiem o bardzo ubogim wnętrzu, jeśliby nie odczuwał potrzeby obcowania ze sztuką. A najszlachetniejszą „najczystszą" ze sztuk jest muzyka.

Muzyka w szkole, a więc — orkiestra. Lecz żeby te moje profany zechciały grać w orkiestrze, należało postarać się o instrumenty.

Niełatwa to była w tym okresie sprawa, kiedy trudno było z wyżywieniem, z opałem, z ubraniem.

Aliści trafiła mi się gratka nie lada: mój brat, który organizował na Dolnym Śląsku fabrykę, napisał mi, że gdzieś na strychu znaleźli całą masę instrumentów muzycznych, jakieś trąby, które im są najzupełniej niepotrzebne, więc może mi je dać dla szkoły, o ile je sam zabiorę. Wspaniale! Pojechałem tedy dyrektor-szabrownik do Wałbrzycha. Ponieważ wiedziałem, że władza ludowa strzeże mienia Ziem Odzyskanych (m.in. przez posterunek w Sycowie nie przepuszczą czegokolwiek, co by Ziemie ogołacało), musiałem zdobyć się na jakiś fortel. Wziąłem ciężarówkę, wsadziłem do niej kilku harcerzy (orkiestra miała być harcerska) kilka trąbek, werbli i większy bęben. Kiedyśmy wjechali do Sycowa, chłopcy dęli w trąbki i bębnili co sił. Dopilnowałem, by w Sycowie na posterunku zapisano: „orkiestra harcerska z Łodzi"

Z Dzierżoniowa (a może z Bielawy?) zabrałem — ponad dwadzieścia różnej maści trąb i bezpiecznie, nie indagowany, przejechałem przez Syców.

Kiedy zjawiliśmy się w szkole, prof. *Kralkowski*, dyrygent orkiestry in spe, załamał ręce:

— *Dyrektorze, co pan mi tu przywiózł? Same szałamaje. To cyrkowe instrumenty, nadają się tylko do cyrku!*

— A więc — klapa!

Ale po niedługim czasie, dzięki sprytowi harcerzy i pomocy rodziców, instrumenty jakoś udało się skompletować.

Orkiestrę, jak to już napisałem, prowadził prof. *Kralkowski*, nauczyciel matematyki, o którym to, powtarzając znane porzekadło, również mawiano, że był najlepszym dyrygentem wśród matematyków i vice versa.

Grały te moje chłopaczyska rozgłośnie i ochoczo za to niezbyt czysto. Lubiłem chodzić na próby. Chłopcy szybko poznali tę moją słabość do chóru i orkiestry.

Rozszyfrował mnie również *Kralkowski*.

Pamiętam, kiedyś, ale to miało miejsce kilka lat później, na sesji kończącej rok szkolny stanęła sprawa *Andrzeja Wojciechowskiego* (o nim to w którymś tam roku przeczytałem w „Nowej Kulturze" wzmiankę jako o „drugiej trąbce w Polsce"). No, ale na razie *Andrzej* jest uczniem dziesiątej klasy. Podczas sesji promocyjnej okazuje się, że ma coś cztery czy sześć „dwój". A klasę już powtarzał. Trzy lata siedzieć w jednej klasie nie wolno. *Kralkowski* przeprowadził ciche rozmowy z nauczycielami z mizernym raczej skutkiem.

Zwraca się do mnie i szepcze:

— *Panie dyrektorze, niech pan ratuje! Bez Wojciechowskiego orkiestra nam się rozsypie!*

Nie pamiętam, jakich użyłem motywów, ale orkiestra się nam nie rozsypała: *Andrzej* dostał promocję...

Tak jak przed wojną, chór szkolny prowadzi prof. *Pędzimąż*. Chór najpiękniejszy — męski.

Powiedzmy — nie całkiem męski. Profesor — nerwus nielichy, ale rozmiłowany w pieśni chóralnej a capella.

Narzeka nieraz, że każdą pieśń musi sam rozpisywać na głosy, bo co to za tenory! To raczej przedmutacyjne sopraniki chłopięce. Basy też trochę w dolnych partiach wysiadały. Ale przecież młodzież śpiewała pod *Pędzimężową* ręką naprawdę ślicznie. Pamiętam odwiedziny szkoły (bo „odwiedziny" to były, nie tam żadna wizytacja) bodajże naczelnika *Bieleckiego* z ministerstwa. Był kwiecień, może początek maja. Wojna jeszcze trwa, jeszcze giną nasi żołnierze.

Pan naczelnik przeżywa jakąś osobistą tragedię (czarny krawat i krepa na rękawie), być może uciekł od porażonej Warszawy i trafił do nas, by przeżyć z nami radosne odradzanie się polskiej szkoły.

Plotę mu chaotycznie o swoich dyrektorskich kłopotach a głównie o radościach, że oto wszystkie przedmioty obsadzone, że radzimy sobie jakoś i z podręcznikami, i ze sprzętem, i nawet z pomocami naukowymi, i o tym, jak wspaniale pracują nauczyciele, jaka morowa jest młodzież. A on słucha, słucha i uszom nie wierzy, że to tu, w tym przed pół rokiem — Litzmanstadt'cie, mieście, gdzie tak bezwzględnie tłamszono polskość, że jest tak, jak to chaotycznie z uniesieniem mówi mu ten młody dyrektor...

— *Chodźmy, naczelniku, do auli. Ćwiczy właśnie chór szkolny, zamiast mojego ględzenia posłucha pan sobie polskiej piosenki.*

— *Dobrze, posłuchamy.*

Pan naczelnik przywitał się z *Pędzimężem*, pozdrowił chłopców — *Panie profesorze, mówię, jeśli pan może, coś co już pan jako tako z chłopcami przećwiczył... Może jakąś polską piosenkę.* (Mistrz trochę się zżyma, że „chór jeszcze nie strojny"...)

Ale chór pod ręką Pędzimęża, jak stustrunna harfa?

„Przylecieli sokołowie pod wiśniowy sad,
Namawiali kukułeczkę lecieć z sobą w świat".

Miły Boże! Jak oni to cudownie zaśpiewali. Ja sam się wzruszyłem, mimo żem bywał prawie na każdej lekcji chóru.

Patrzę zezem na naczelnika, a on płacze...

A kiedy indziej, pamiętam (chyba to było już w następnym, 46 roku), jak na akademii pierwszomajowej tak samo do łez się wzruszył drugi z kolei prezydent naszego miasta — robociarz, komunista łódzki *Eugeniusz Stawiński*, kiedy usłyszał w wykonaniu naszego chóru „Czerwony sztandar".

A no cóż, w tamte dni wzruszaliśmy się często. Poza tym chór, właśnie śpiew chóralny potrafi wyzwalać uczucia.

Mam już chór, grzmi orkiestra, chłopcy — na medal, kłócą się różne orientacje polityczne — czegóż mi do szczęścia jeszcze potrzeba

A WŁAŚNIE, ŻE POTRZEBA GROTNIK

W tych Grotnikach około 30 km od Łodzi, „Koło Rodziców", jak je przed wojną nazywano, miało swoją parcelę (dzięki fundacji mecenasa *Jasińskiego*). To działo się w latach trzydziestych, kiedy mnie już w szkole nie było.

Do Grotnik miałem więc stosunek obojętny, czyli nie miałem stosunku żadnego. Ale teraz znów zadziałał jak dobry duch — *Kralkowski*.

Kiedy nastały cieplejsze dni, *Kralkowski* od czasu do czasu niby od niechcenia: — *Panie dyrektorze, a może byśmy tak wpadli do Grotnik? Łyknąłby pan świeżego powietrza. A w Grotnikach powietrze!...* Aż dopiął swego. Pojechaliśmy.

Grotniki jak Grotniki.

Tuż przy śmiesznie małej stacyjne, że kapeluszem byś ją nakrył, mały domek, w nim głuchawy *Pietrasiak* z żoną przez całą okupację dobytku strzegli przed szwabami, a później przed szabrownikami. Wiecznie uśmiechniętą *Pietrasikową* już znałem. Prowadziła stołówkę szkolną.

Obskoczyli mnie w trójkę: *Pietrasiak* tylko potakuje, bo głuchy. Czasem ni w pięć ni w dziewiętnaście coś tam domruczy. *Pietrasiaczka:*

— *A jakie tu powietrze, panie dyrektorze! Jak pachnie! Sucho, zdrowo.*

Kralkowski:

— *Te drzewa nie rosną. Jakie były dziesięć lat temu, takie są i dziś. Jak pan tu przyjedzie za trzydzieści lat, będą takie same. Tak tu sucho. Przed wojną komisja badała glebę w Grotnikach i stwierdziła, że tylko w Otwocku ziemia i klimat ciut, ciut zdrowsze. Taki tu podkład piasku. Drugie miejsce w Polsce.*

A jak to łódzkim dzieciom by się przydało: piasek, żywica i ten ozon, panie dobrodzieju. A może byśmy tak — osiedle?

Co? Przed wojną tylko *Sczaniecka* i my, a teraz my pierwsi. A na razie — kolonie letnie dla naszych chłopaków. Co? nie przydałoby się? Pół roku jeszcze od końca wojny nie minęło, a my na kolonie... *Co? Panie dyrektorze?*

W lesie cicho, tylko ptaki świergolą na różne sposoby i w różnych tonacjach.

Pietrasiaczka przyniosła koc.

Dogadują, uśmiechają się przymilnie, a ja mięknę, mięknę...

— *No tak, ale skąd forsy na remont, na urządzenie?*

— *Forsy nie trzeba. Tu były za Niemca magazyny dla baltendojczów. Wszystko gra.*

Teraz *Pietrasiak* zaprasza mnie gestem, że mi chce coś pokazać. Przewraca przy tym wszystkim gały, a uśmiecha się tajemniczo. Podprowadza mnie pod ten mały domek i paluchem wskazuje na coś.

Pod okapem mała tabliczka biała, a na niej napis: „Własność Koła Rodziców Gimnazjum Miejskiego im. J. Piłsudskiego w Łodzi".

— *Co, panie dyrektorze? Pilnowałim tej tabliczki za Niemca. To nasze, nie?*

— *Dobra, bierzemy Grotniki* — mówię z niejaką determinacją, przeczuwam, ile kłopotów znów na siebie biorę.

Kiedyś przywiozłem do Grotnik nowego kuratora — *Trojanowskiego*. (Pierwszy kurator łódzki — *Steliga*, człowiek bardzo przyzwoity, poważny i dobry, wrócił na swoje lubelskie pielesze).

Trojanowski — chudy, nieduży, był przedwojennym komunistą i więźniem obozu koncentracyjnego. Na twarzy odbiły się koszmarne obozowe przeżycia.

— *Panie kuratorze, taka cudowna pogoda, niech pan da się wywieźć, poza miasto. Pokażę panu coś, co pana na pewno uraduje.*

Pojechaliśmy do Grotnik.

Kilku robotników instalowało kuchnię, której tu dawniej nie było. Pokazałem kuratorowi sale sypialne, stołówkę-świetlicę.

— *Przecież nie dostał pan na to pieniędzy! W jaki sposób pan to robi?*

— *Normalnie: cud. Trochę forsy i robocizna to — Komitet Rodzicielski, dotacja Spółdzielni Uczniowskiej. No, a kiedy już się pan tak tym interesuje, to żeby cud był zupełny, niech nam pan z puli kuratoryjnej przydzieli trochę smoły i papy. Są zacieki, trzeba naprawić dach.*

— *Acha! To dlatego pan mnie tu przywiózł?*

Potem położyliśmy się na kocu, ziemia pachniała, było upalnie i cicho. Jakiś ptak analfabeta piukał rytmicznie jeden i ten sam ton.

Trojanowski leżał z przymkniętymi oczyma. Po rdzawym pniu sosny śmignęła wiewiórka.

— *Wierzyć się nie chce, wierzyć się nie chce* — szepnął.

Jeszcze rok temu człowiek... Rok temu...

Fragment przygotowywanych do druku wspomnień Mieczysława Woźniakowskiego z lat 1945—1950.

CHIRURGIA PŁODU LUDZKIEGO

W paryskim tygodniku „Le Figaro „Magazine" ukazał się artykuł, którego autor, Yves Christen, entuzjastycznie oznajmia: „Oto najnowszy wielki skok naprzód w medycynie: dzięki zabiegom chirurgicznym dokonywanym na płodzie będzie można wyleczyć chorych, zanim przyjdą na świat; pierwsza tego rodzaju operacja powiodła się w jednym z bostońskich szpitali". Christen pisze:

ZANIM SIĘ URODZI

Przed niespełna rokiem amerykańskie czasopismo „Newsweek" rozgłosiło wieść o cudzie: zoperowano serce dziecka, które ukończyło zaledwie jeden dzień życia. Nie ma co, można było mniemać, że taki rekord trudno będzie pobić. A jednak — dziś jest już pobity. Dwaj bostońscy chirurdzy, **dr Jason Birnholz i dr Frederic Frigoletto** dopiero co ujawnili, że dokonali operacji mózgu u 24-tygodniowego płodu — w łonie matki. **I tak oto narodziła się oficjalnie chirurgia przedurodzeniowa.**

Dziecko, którym zajmował się zespół **dra Frigoletto,** miało wodogłowie; jego przeogromny mózg z każdym dniem coraz bardziej wypełniał się płynem. Nie było wątpliwości, że dziecko urodziłoby się albo nienormalne, albo martwe. **Dr Frigoletto** był tego pewien. Stwierdził tę anomalię posługując się aparaturą radiologiczną wykorzystującą ultradźwięki. Dziś tego rodzaju technika medyczna jest niebywale precyzyjna. **Dr Frigoletto** wyjaśnia: **„Możemy przypatrywać się, jak płód ssie palec, jak otwiera oczy lub usta".** Oczywiście można też wykryć różne wady wrodzone, szczególnie pewne anomalie układu nerwowego: wodogłowie i rozszczepienie kręgosłupa, tj. schorzenie wyróżniające się tym, że przewód, w którym znajduje się rdzeń kręgowych, nie domyka się i potem, po porodzie, rdzeń wydostaje się na zewnątrz na poziomie kości guzicznej. Na ogół rodzice, gdy dowiadują się o anomalii, decydują się na zabieg przerwania ciąży.

W omawianym przypadku **dr Frigoletto** postanowił dokonać operacji. Przedtem zastanawiał się oczywiście nad mnóstwem problemów. **„O ile wiedzieliśmy, nigdy tego nie robiono na płodzie ludzkim. Toteż miałem ogromne skrupuły, czy wprowadzić igłę do mózgu płodu".** Zastanawiał się, radził się kolegów po fachu, a wreszcie postanowił przedstawić sytuację przyszłej matce. **„Powiedziałem jej, że nie wiemy, czy zabieg nie będzie niebezpieczny, ale że, być może, zdołałby pomóc. I potem zaryzykowaliśmy".**

Trzeba było wprowadzić igłę do przestrzeni otaczającej mózg płodu, wprowadzić po to, aby płyn, który wdzierał się do opon mózgowych, spłynął do wód płodowych. Operacji dokonano w sześciu etapach, pomiędzy 25 i 33 tygodniem. W 33 tygodniu chirurdzy zrobili cesarskie cięcie. Wcześniak zdawał się być prawie normalny: nie miał śladów nakłuć na czaszce, ani wylewu krwi do mózgu. Następnie jeden z chirurgów mógł już dokończyć operacji, spuszczając nadmiar płynu do jamy brzusznej dziecka. Jest to metoda zwana „shunt" („odprowadzenie"). Zazwyczaj stosuje się ją w przypadku wodogłowia, ale stosuje się dopiero wtedy, gdy dziecko się urodzi. Tak późno dokonany zabieg nie daje praktycznie żadnych szans wyleczenia, zwłaszcza, gdy ma się do czynienia z najcięższymi przypadkami. **Dr Frigoletto działając tak wcześnie, jak tylko to było możliwe, miał po prostu nadzieję, że uda mu się dokonać czegoś, co jest nieosiągalne.** Nie uzyskał pełnego sukcesu. Dziecko — jak się zdaje — ma lekko opóźniony rozwój umysłowy. Jednak byłby on bardziej opóźniony, gdyby nie ta operacja.

W każdym bądź razie, sporo chirurgów, specjalizujących się w operowaniu niemowląt, uważa, że prawdopodobieństwo sukcesu było tak nikłe, iż nie należało próbować tego zabiegu, lecz doradzać przerwanie ciąży. Tak sądzi też **prof. Henrion** z oddziału położniczego w szpitalu Port-Royal w Paryżu. Jednakże **prof. Henrion** nie odrzuca całkiem idei przeprowadzania operacji chirurgicznych na płodzie, szczególnie w przypadku pewnych anomalii nerkowych lub przepukliny pępkowej. Inni naukowcy, bardziej skłonni do ryzyka, przewidują, że będzie można zszywać grzbiet płodu, u którego występuje rozszczepienie kręgosłupa.

Ze swojej strony **dr Abraham Rudolph i dr Michael Heymann,** obaj z San Francisco, zajmują się chirurgią naczyń krwionośnych i serca płodu cielaka. Nie wahają się wyjmować cielaka z pęcherza płodowego, a nawet z brzucha matki. Po dokładnym zlokalizowaniu najbardziej wrażliwych organów płodu wyciągają go delikatnie — oczywiście, wciąż żywego. Następnie robią nacięcia. W pewnych przypadkach otwierają serce, po to, aby naśladować „normalny" tego rodzaju zabieg chirurgiczny, kiedy indziej dokonują przetaczania krwi na poziomie tętnicy udowej, itd., itp. Wszystkie te doświadczenia nie powiodły się — przynajmniej u cieląt. Oczywiście, trzeba będzie jeszcze wielu sprawdzeń, zanim będzie można podjąć próby na płodzie ludzkim. Niewątpliwie te doświadczenia, choć nawet jeszcze nie doprowadzone do końca, zachęcą badaczy — podobnie jak ostatni sukces **dra Frigoletto** — do pójścia dalej tą drogą.

Podczas, gdy pacjent **dra Frigoletto** nie miał szans całkowitego uzdrowienia, to natomiast **April Murphy** (chłopiec, który niedługo skończy dziewięć lat), jest ładny, umysłowo świetnie rozwinięty, pełen życia; i nic nie wzbudza podejrzeń, że zaiste cudem go uratowano. Po pobraniu próby płynu owodniowego matki, zorientowano się, że **April,** który wówczas był dopiero płodem, **też miał wadę wrodzoną — kwasicę metylojabłkową.** Powiedzmy po prostu: miał niedobór witaminy B12. Zwykłemu śmiertelnikowi niewiele to mówi; ale nie rodzicom **Aprila.** Wszak jego siostra w 11 miesięcy po swoim urodzeniu padła ofiarą tego schorzenia. Następstwem był bardzo poważnie opóźniony rozwój umysłowy. Rodzinę **Murphy** dotknęła katastrofa: ich drugie dziecko miało być tak samo chore, jak było pierwsze. Tymczasem przekonania religijne państwa **Murphy** zabraniały im uciec się do przerwania ciąży. A zatem przyszłość małego **Aprila** była przypieczętowana, zanim jeszcze się urodził. Na szczęście dla niego **dr Mary Ampola,** która pracowała (jak Frigoletto) w szpitalu bostońskim, zdecydowała się zagrać va banque i zaaplikowała matce dużą ilość witaminy B12. Przenika ona z łatwością zaporę, jaką stwarza łożysko. **Dr Ampola** miała nadzieję, że w ten sposób wyrówna niedobór witaminy u płodu. Udało się. **Dziś April Murphy jest pierwszym dzieckiem, które było przed urodzeniem leczone na schorzenia genetyczne.** Ale teraz już nie jest jedynym.

Dwaj lekarze amerykańscy, doktorzy **Seymour-Packman i Morton-Coxan** z San Francisco, podali do wiadomości, że udał im się tego samego typu sukces w leczeniu innego genetycznego niedoboru witaminy — biotyny (witaminy H). Dając matce w okresie ciąży duże dawki biotyny, zdołali zapobiec poważnym następstwom niedoboru tej witaminy u małej **Nicole Whitemore.** Dziś dziewczynka ma siedem miesięcy i jest całkowicie normalna. Podobnie jak w poprzednio opisanych wypadkach, tak i tu naukowcy długo czekali, zanim podali swój sukces do wiadomości publicznej. Chcieli najpierw upewnić się, że rzeczywiście go osiągnęli. I oto — na tle przykładu tych trojga dzieci — narodziła się w tej chwili całkiem nowa medycyna. Zaczyna się ona przed przyjściem dziecka na świat i usiłuje naprawić największą niesprawiedliwość losu, jaką jest nieuniknione schorzenie. Można by nawet rzec, że wyniki przekroczyły tu najbardziej optymistyczne przewidywania.

Niedawno jeden ze specjalistów, **prof. Harrison,** oświadczył: **„Lata siedemdziesiąte były świadkiem sukcesu diagnostyki przedurodzeniowej. W latach osiemdziesiątych zdołamy zrobić coś dobrego dla płodu. Po 1990 roku będziemy już mogli stale dokonywać zabiegów chirurgicznych na płodzie".** Te słowa to z pewnością jedna z najbardziej niezwykłych zapowiedzi, na jakie kiedykolwiek odważyła się medycyna.

Po takich sukcesach czegóż można jeszcze oczekiwać? Ano, że zabiegi chirurgiczne czy medykamenty nie tylko wyleczą z tego rodzaju anomalii, lecz również zlikwidują ich przyczyny. **Inżynieria genetyczna pozwala przewidywać możliwość „naprawienia" anomalii już tam, gdzie ona tkwi, czyli na szczeblu cząsteczki DNA** (kwasu dezoksyrybonukleinowego), **która w swojej budowie — w tej swojej podwójnej spirali — kryje tajemnice naszej dziedziczności. Badacze zaczęli z powodzeniem manipulować tą cząsteczką, przynajmniej w mikroustrojach.** Dzięki owej manipulacji poznali nawet, jak sprawić, by geny ludzkie funkcjonowały w bakteriach. Następnym etapem będzie oczywiście manipulowanie samym człowiekiem. Do pierwszego doświadczenia tego rodzaju już doszło, ponieważ kalifornijski badacz, **Martin Cline,** manipulował dziedzicznością pewnych komórek u ludzi dotkniętych ciężkim schorzeniem genetycznym: niedokrwistością śródziemnomorską. Znamienne dla naszych czasów jest to, że **Cline** nie mógł robić tych prac we własnym kraju, lecz musiał je prowadzić we Włoszech i Izraelu. Niedawno jego koledzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego uznali nawet za właściwe oficjalnie, w imię etyki biologa, potępić pośpiech **Clinea** w przeprowadzaniu eksperymentów. A więc są oni jeszcze bardzo dalecy od wyrażenia zgody na to, by można było dokonywać tego samego rodzaju manipulacji z płodem ludzkim.

DYLEMAT ETYCZNY

Oczywiście zrozumiałe jest, że w tej dziedzinie wskazana jest ostrożność. Ale z drugiej strony, być może, właśnie ze względów etyki biologia te badania są najbardziej usprawiedliwione. Wszak na razie przy niepomyślnej diagnozie przedurodzeniowej istnieją jedynie dwie możliwości: usunąć ciążę, lub być bezradnym. Niektórzy nie godzą się na nic, co mogłoby przypominać popełnienie zbrodni na kimś bezbronnym. Inni — jak teolog protestancki, **André Dumas** — postulują przerwanie ciąży, określając je nie jako sposób wyzwolenia rodziców, lecz jako „moralne prawo płodu do zabiegu usunięcia ciąży". Czyli bardzo wyraźna niezgodność poglądów dzieli we wszystkich przypadkach: z jednej strony tych, którzy w imię moralności zalecają śmierć płodu, i z drugiej strony tych, co również w imię etyki postulują jego utrzymanie przy życiu. Nie byłoby już tego straszliwego dylematu etycznego, gdyby dzięki manipulacji można było naprawiać podstawowe wady genetyczne. A więc jest to dodatkowy argument za tym, aby w imię moralności opowiadać się za rozwojem takich badań naukowych.

Należy przewidywać, że w dniu, w którym będzie możliwa manipulacja genami zarodka ludzkiego, jakiś nowy dr **Cline** nie będzie wahał się działać bez pytania o pozwolenie. Jak powiedział ten kalifornijski badacz: **„Galileusz nie czekał na żadne zezwolenie, by dokonać przewrotu w myślach ludzkich".**

Ale też prawdą jest, że wcale go za to nie nagrodzono.

OBYCZAJE

KONTRAKT ZAMIAST ŚLUBU

Już na dźwięk słów „kontrakt małżeński" skrzywi się zapewne wiele osób. **Carol Sarler** — dziennikarz z angielskiego magazynu **„Honey"** twierdzi, że coraz więcej par w Wielkiej Brytanii zniechęconych do małżeństwa, pragnie zawrzeć formalną umowę przypieczętowującą ich wzajemne obietnice czymś więcej niż pocałunek.

Sam kontrakt małżeński nie jest właściwie niczym nowym. Od wieków zawierano takie umowy. Na początku naszego stulecia zamożne pary w Europie podpisywały przed ślubem dokładne kontrakty określające ich wzajemne układy finansowe. We Francji tego typu porozumienie notarialne było prawie tak ważne jak akt małżeński. Taką umowę zawarli także nie tak znów dawno **Ari i Jacke Onassis.**

Obecnie kontrakty zawierają nie tylko ludzie zamożni, dysponujący znacznym majątkiem, ale po prostu pary, które chcą żyć razem bez zawierania małżeństwa. Niechęć do małżeństwa wzrasta. Nawet w piosence **Joni Mitchell** śpiewa: „Do wierności nie potrzebny jest nam ślub ani papierek z urzędu."

Pytanie, czy nowy kontrakt nie jest także urzędowym papierkiem? Socjologowie twierdzą, że nie. Utrzymują też, że zwolennicy zawierania tego typu umowy znajdą coraz więcej naśladowców. Skłania ku temu samo życie. Coraz więcej par żyje razem. Zwykle oboje pracują i razem inwestują we wspólny dom. Kłopoty z podziałem wspólnego dobra zaczynają się w momencie rozstania. Zwykle ani kobieta ani mężczyzna nie mają żadnej ochrony prawnej. Sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy w grę wchodzą wspólne dzieci.

Kto decyduje się na związek bez ślubu? Zwykle są to ludzie, którzy mają za sobą co najmniej jedno małżeństwo i wiedzą z gorzkiego doświadczenia, że nawet największa miłość nie trwa wiecznie. Kontrakt pozwala na większą swobodę, ułatwia rozstanie, a w gruncie rzeczy przyczynia się do bardziej świadomego wyboru partnera.

Prawnik, do którego zgłosiła się pierwsza para z prośbą o sporządzenie kontraktu wspomina na łamach **„Honey"**:

— W pierwszej chwili byłem zaszokowany. Później uznałem jednak, że nie jest to ani niemoralne, ani sprzeczne z prawem. Poza tym daje większą swobodę w formułowaniu żądań i oczekiwań każdej ze stron, niż tradycyjny akt małżeński. Jest także bardziej elastyczny. Na przykład w pewnym okresie para może nie decydować się na posiadanie dzieci (co gwarantuje sobie w kontrakcie), a później zmienić decyzję, co szybko znajdzie odbicie w umowie.

— Czy zdaniem pana — zwrócił się do prawnika dziennikarz — podobne umowy mogłyby zawierać również pary małżeńskie?

— Oczywiście. W niektórych przypadkach byłoby to bardzo korzystne. Na przykład ciągle jeszcze obowiązująca, niesprawiedliwa zasada prawna przyznaje żonie po rozwodzie w Wielkiej Brytanii tylko 1/3 majątku rodziny. Gdyby małżonkowie wcześniej zawarli kontrakt, przyznający majątek po połowie żonie i mężowi, rozwiedziona kobieta nie byłaby poszkodowana.

— To wszystko pięknie — zastanawia się **Carol Saler.** Jak jednak czuje się człowiek, który od lat żyje w wolnym związku i pewnego dnia staje przed koniecznością podjęcia decyzji o zawarciu kontraktu?

— Zwyczajnie — odpowiedzieli **Anne Hooper i Philip Hodson** (wydawca i współpracowniczka magazynu **„Forum"**), którzy zawarli kontrakt małżeński pięć lat temu i doczekali się 10-miesięcznego syna Aleksandra.

Na pytanie jak wpadli na pomysł zawarcia kontraktu odpowiedzieli:

Anne: Byłam już mężatką i przekonałam się, że zupełnie nie odpowiada mi rola tradycyjnej żony. Uwierzyłam także w to, w co tak trudno uwierzyć, że stosunki między kobietą i mężczyzną są zmienne.

PHILIP: Bardzo chciałem mieszkać z Anne, ale nigdy nie zamierzałem się ożenić. Mam świadomą i podświadomą niechęć do małżeństwa. Nie chciałbym żyć pod presją społeczną i z góry przesądzać o roli partnera, zgodnie z którą mąż powinien utrzymywać dom, a żona „podsycać domowe ognisko." Nie twierdzę, że niezawieranie małżeństwa jest gwarancją na szczęście, ale małżeństwo ma większe tendencje do omijania tego szczęścia. Małżeństwo narzuca pewne konwencje. W przypadku naszego związku nie musimy wchodzić formalnie w żadną z ról. Mamy wolność i swobodę.

Annie: Kiedy nadszedł czas wspólnego dzielenia mieszkania, założenia wspólnej kasy, itp. oznaczało to, że myślimy o zabezpieczeniu naszej przyszłości. To był główny powód, dla którego zawarliśmy umowę i podpisaliśmy kontrakt.

Philip: Staramy się przede wszystkim przestrzegać zasady: idziemy przez życie razem, ale każdy własną drogą. Gdybym na przykład stracił wzrok na cztery miesiące i nie mógł w tym czasie pracować, zadłużyłbym się u Anne, ale nie pozwolił, aby ona łożyła na mnie ze swoich zarobków.

— A jeśli choroba lub ślepota okazałyby się trwałe?

Philip: Wtedy jestem ubezpieczony i otrzymywałbym zasiłek.

— Co jest więc zawarte w kontrakcie?

Philip: Przede wszystkim zobowiązanie, że Anna wróci do pracy w trzy miesiące po urodzeniu dziecka. Gdyby jednak zechciała, lub musiała pozostać w domu jeszcze następne trzy miesiące, wówczas wziąłbym na siebie wysiłek utrzymania jej przez ten czas. Jeśli chodzi o pieniądze, ściśle przestrzegamy zasady dzielenia wydatków na połowę. I nigdy nie było między nami żadnych dysput ani sprzeczek na tle finansowym.

Anne: W kontrakcie zapisaliśmy jasno i przejrzyście czego się do siebie spodziewamy. Większość par ma nieokreślone oczekiwania wobec siebie. Nic więc dziwnego, że nie spełniają się później.

Philip: Oznacza to również, że jeśli kiedykolwiek zechcemy uwolnić się od siebie, będziemy wiedzieli jak to zrobić, nie raniąc żadnej ze stron. Znam wiele par bliskich rozstania, które nie potrafią tego przeprowadzić.

Anne: Chcieliśmy, aby kontrakt obejmował dwie zasadnicze grupy zagadnień: finansowo-domową i seksualną. Oczywiście każda para może ułożyć swój indywidualny kontrakt obejmujący inne dziedziny życia.

Philip: Nigdy nie byłem nastawiony monogamicznie. Stosunki z Anne, głębokie i prawdziwe, nie oznaczają dla mnie końca kontaktów seksualnych z innymi kobietami. Anne wie, że również ma prawo do kontaktów z innymi. Będziemy ze sobą tak długo, jak długo będzie nam ze sobą dobrze i dopóki nasze układy dostarczać nam będą maksimum przyjemności.

— A czy kontrakt nie tłumi miłości? Czy nie jest nieromantyczny?

Anne: Kiedy ludzie wypominają mi, że kontrakt jest zbyt przyziemny i nieromantyczny, odpowiadam, że między nami jest miejsce na miłość i że po prostu się kochamy.

Pozostawmy Anne i Philipa samych. Korespondent **„Honey"** tak kończy relację ze spotkania z nimi.

„Przez cały czas rozmowy zaobserwowałem więcej dowodów czułości, tkliwości i wrażliwości, a nie boję się nawet użyć tego słowa — miłości — między nimi, niż u innych par po pięciu latach małżeństwa. Stosunki między tymi ludźmi wyraźnie zaprzeczają pojęciu skąpstwa, lub materialnego wyrachowania.

Czy kontrakt będzie wzorem dla innych par? Zobaczymy?

* * *

Przykład kontraktu zawartego 1 maja 1980 r. między **Jane Honest** zwaną dalej **„kobietą"** i **Jimem Loverock,** zwanym dalej „mężczyzną".

1. Kobieta i mężczyzna postanawiają mieszkać razem.

2. Kobieta i mężczyzna postanawiają zawrzeć porozumienie co do swoich praw majątkowych, własności i zobowiązań w stosunku do dzieci urodzonych z tego związku.

Kobieta i mężczyzna życzą sobie ustalenia zasad gwarantujących równe prawa we wszystkich ważnych sprawach życiowych. Zasady tej będą się starali przestrzegać, nawet gdyby dostosowanie się do niej groziło konfliktem w zakresie spraw finansowych.

3. Celem związku kobiety i mężczyzny jest dostarczenie sobie przyjemności, miłości, zadowolenia oraz wzajemne przestrzeganie zasad fair-play.

4. Kobieta i mężczyzna pozostawiają sobie prawo do noszenia własnego nazwiska. Dzieci urodzone z ich związku będą mogły przyjąć nazwiska obojga rodziców.

5. Oboje partnerzy pozostawiają sobie prawo do pracy. Jeśli kobieta lub mężczyzna zdecydują się na dodatkowe studia, obydwoje zgadzają się ponosić związane z tym koszty i pomóc drugiej stronie w dążeniu do celu.

6. Kobieta i mężczyzna postanawiają planować swoje życie w taki sposób, aby kobieta mogła pogodzić pracę z macierzyństwem.

7. Kobieta i mężczyzna postanawiają zapewnić odpowiednią opiekę dzieciom zrodzonym z ich związku.

8. Kobieta i mężczyzna uważają, że wierność seksualna nie stanowi fundamentu ich związku. Postanawiają tolerować inne związki seksualne swoich partnerów zachowując dyskrecję i takt. Zobowiązują się odpowiadać szczerze na wszystkie pytania partnera.

9. Kobieta i mężczyzna postanawiają zabezpieczyć finansowo swojego partnera i dzieci na wypadek śmierci, sporządzając odpowiedni testament.

Kontrakt został podpisany przez obie strony w obecności świadków w Biurze Prawnym.

Tłumaczyła z ang.
MAŁGORZATA GOLICKA

P.S. Jak utrzymuje GUS, w Polsce żyje około 200 tysięcy osób w wolnych związkach. Prawdopodobnie jest ich więcej. Niewiele wiemy na temat trwałości tych związków, wzajemnych układów itp. gdyż nie przeprowadzano żadnych sondaży na ten temat.

LEWYM OKIEM

STAĆ NA DWORZE!

Wyczytałem niedawno (2 lipca) w „Dzienniku Łódzkim", że w naszym ogrodzie botanicznym na Zdrowiu nie sadzi się już żadnych ciekawych roślin, bo i tak wyrwą je złodzieje i chuligani. Czyli praktycznie — nie ma Ogrodu Botanicznego: nie pójdę tam przecież po to, żeby oglądać pokrzywy i gromady karciarzy na przedeptanych trawnikach.

Moi znajomi nie zamykają już na klucz swego domku na działce, żeby go nie narażać na wybijanie okien. Chuligani wchodzą więc swobodnie i do niedawna nawet nie czynili większej szkody, dopiero ostatnio zostawiają kupy gnoju i tłuczonego szkła. Ale sprzątanie i tak taniej kosztuje, niż ciągła naprawa po włamaniach.

W ogródkach działkowych wycinane są fachowo całe zagony kwiatów, wiśnie zrywa się łamiąc po prostu gałęzie i ciągnąc je gdzieś daleko celem oskubania. Żaden płot przecież nie pomoże.

Zarząd zieleni miejskiej nie ustawia w parkach ławek, bo i tak łobuzy je połamią i powrzucają do stawu. Ponury teror łobuzerii przybiera rozmiar katastrofy i nie pozwala myśleć o jakimkolwiek upiększeniu życia.

W kolejce żona moja osobiście słyszała „dowcip" łobuza: „Pan inwalida? Jak inwalida to na cmentarz, nie tutaj!" Sprzedawczynie krzyczą na staruszki tłoczące się do lady: „Tam stać, na dworze! Tu mi na ręce nie patrzeć!" Pozostawiając gdziekolwiek samochód, trzeba zdjąć wycieraczki i antenę, bo zginą. Człowiek chodzi ściśnięty jak piąstka, zagrożony, czekający wiecznie na mniej lub bardziej dosłowny cios bandziora, kopniaka chama, wyzwisko łobuza. Bardzo rzadko czyta się o niezwykłej, a nawet niesamowitej „uprzejmości" rodaków. Oto w pewnej wiosce (w Tychowie koło Piły) chciał się utopić jakiś desperat i wciąż trafiał na płytką wodę w miejscowej Liśnicy. Wreszcie poszedł do jednego z gospodarzy, ten zaprowadził go na odpowiednią głębię i wreszcie gość mógł wykonać swój zamiar. To był „uprzejmy" gospodarz, co?

Dominującym społecznie uczuciem jest chyba zapiekła, zajadła zawiść. „Im bardziej idea równości szans przyjmuje się w umysłach — mówiła pani profesor Lazari-Pawłowska z Zakładu Etyki Uniwersytetu Łódzkiego w wywiadzie „Polityki" (28.VII.78) — tym większa może być skłonność do frustrującego konfrontowania własnej życiowej sytuacji z sytuacją innych. Przy mniejszym dystansie społecznym łatwiej bywa o zawiść, bo każdy ma podstawy porównywać siebie z każdym." Na zapytania: „Jaka jest nadzieja na rozwiązanie moralnych problemów naszych czasów?" — odpowiedziała pani Profesor: „Nie wiem. Nikt z nas nie wie. A ponieważ nie wiem, wolę nie szerzyć pesymizmu. Z kolei powiem rodzaj optymistycznej wizji przyszłego świata wydaje mi się naiwny. Nie wierzę w możliwość raju na ziemi ani w stan ludzkiej doskonałości"...

Nie jest to optymistyczne widzenie przyszłości, ale o ileż dosadniej wyraziła się pani Jeannie Ebner, redaktorka wiedeńskiej „Literatur und Kritik" podczas wizyty w Poznaniu („Literatura" z 3.VIII 78):

„Nawet nie wierzę w sprawiedliwość historii, jako że mój pesymizm dosięgnął zenitu. Ale nie jest to tylko pesymizm wrodzony, głównie wyhodowany przez środowisko i doświadczenia. Nie wierzę już w to, że doczekamy się kulturalnej potomności, natomiast wydaje mi się, że z pokolenia na pokolenie będzie coraz mniej literatury i kultury, w tym znaczeniu, jak ja je rozumiem. Będą egzystowali idioci telewizyjni i samochodowi, idioci polityczni, a ludzie światli po prostu wymrą. Nic już nie chcę dodawać na ten temat".

No cóż, czasy mamy takie, że trudno nie popaść w nastrój austriackiej pisarki. Tyle że wolałem zacytować jej słowa, niż zwierzać się własnymi. Bo może jednak uda się kiedyś wprowadzić jakąś optymistyczną korektę do własnych przewidywań

ĆWIEK

SPORT

W ŚRODKU LATA

Powiedzieć, że nic się teraz w sporcie nie dzieje byłoby wielką przesadą. Jednak mimo to, że sezon lekkoatletyczny w pełni, że rywalizuje z sobą sportowa młodzież, że kajakarze odnieśli sukcesy (jeden srebrny i dwa brązowe medale), to przecież trudno nie dostrzec, że wielkich wydarzeń brak. Wakacje w całej pełni. Kibice zaczynają już tęsknić za piłką nożną, o czym najlepiej świadczy ostatni mecz towarzyski Widzewa, który zgromadził sporą liczbę widzów, co nawet zadziwiło sprawozdawcę łódkiej telewizji Marka Madeja. Piłka nożna natomiast zawsze nam kojarzy się ze sportowymi wydarzeniami. Jeśli nie krajowa, to zagraniczna i są to widowiska budzące wielkie emocje kibiców. Nawet te oglądane w telewizji.

Jeśli na boiskach nie ma wielkich wydarzeń, żeby nie powiedzieć sensacji, to są one poza boiskami. Zacznę od piłki nożnej, a właściwie od trenera piłki nożnej Antoniego Piechniczka. Otóż trener polskiej reprezentacji był uprzejmy wyrazić się publicznie, że w Kopalni Węgla Kamiennego „Knurów" są lewe etaty i to w liczbie 620. Opinia ta znalazła się w publikacjach na łamach „Piłki Nożnej" i „Głosu Pracy", co wywołało oburzenie dyrektora KWK „Knurów" J. Szlachty. I ten — myśląc logicznie i działając roztropnie — zamiast pisać skargę na A. Piechniczka do PZPN, GKKFiT oraz kilku zaprzyjaźnionych komitetów, jak to zwykli robić niektórzy krytykowani działacze gospodarczy, skierował sprawę do sądu. Sąd sprawę rozpatrzył. W aktach sprawy znalazły się różne artykuły prasowe, co do których wymowy ogólnej, powód, czyli J. Szlachta miał własne zdanie, z którym nie omieszkał się podzielić z sądem, chociaż nie to było przedmiotem sprawy. Sąd uznał, że A. Piechniczek nie miał żadnych podstaw do tego, aby twierdzić, że w KWK są lewe etaty i nakazał pozwanemu, czyli A. Piechniczkowi w terminie miesiąca od ogłoszenia wyroku, który zresztą był jeszcze nieprawomocny, gdy się o tym dowiedziałam, złożyć oświadczenie na łamach „Piłki Nożnej" i „Głosu Pracy' o tym, że wiadomość o 620 fikcyjnych etatach była nieprawdziwa. A. Piechniczek zapłaci też 5 tys. zł na PCK i tysiąc złotych kosztów sądowych.

Inaczej natomiast skończyła się sprawa pewnego policzka, którego 16 maja 1981 roku około godziny 16 w Wałczu wymierzył zapaśnik Andrzej Suproń specjaliście od odnowy Zbigniewowi Sobolewskiemu. Bicie się — nawet po twarzy — rzecz męska i w życiu często się zdarza. Bijący mają po temu zawsze jakiś powód — dawniej tym powodem bywały kobiety, ale czasy te już minęły, niestety! — później zwykle dochodzą do porozumienia i nawet się przyjaźnią, albo udają, że się przyjaźnią aż do następnego mordobicia.

W tym wypadku powodem były wiadomości rozsiewane przez Z. Sobolewskiego o sposobie spędzania wolnego czasu przez A. Suprona. Nie były to informacje pochlebne, gdyż A. Supron zdenerwował się i powiedział Z. Sobolewskiemu, że ten „ma u niego w dziub". Na co Sobolewski zaproponował, aby Suron obietnicę tę zrealizował od razu, co też Andrzej S. uczynił. Uderzył tak mocno, że znokautował Zbigniewa Sobolewskiego. Później obaj panowie się pogodzili, wyjaśnili sobie nieporozumienie i Zbigniew Sobolewski napisał do Polskiego Związku Zapaśniczego, że nie ma do Andrzeja Suprona urazy, że ten postąpił źle, ale już sobie wszystko wyjaśnili, że się przyjaźnią, co może wydać się dziwne, ale tak jest istotnie. Zgodnie zresztą z przedstawionym uprzednio przeze mnie schematem takich męskich pojedynków.

Ale — jak nam wiadomo — informacje oraz ich system przepływu są w naszym kraju przedmiotem odwiecznych sporów, a ostatnie wydarzenia choćby tylko sportowe, powyżej przeze mnie opisywane, dowodzą, że zaczyna się mała wojna o obieg informacji — tak i w tym przypadku wszystko nie mogło się skończyć „wzajemną ugodą stron" ,choć była ona faktem. Do sporu bowiem wtrącił się Stanisław Krzesiński, trener i świadek zajścia. Z obowiązku powiadomił o zajściu Zarząd PZZ, a ten skorzystał z okazji i... ukarał Andrzeja Suprona półrocznym zawieszeniem. Tylko, że ten „sportowy wyrok" zapadł dopiero na początku lipca. I jak twierdzą znawcy stosunków w PZZ działacze skorzystali z okazji, aby utemperować nieco zbyt „niewyparzony język" Andrzeja Suprona. Ma on bowiem — mało u nas lubiany — zwyczaj mówienia tego, co myśli oraz niekonwencjonalny sposób oceny faktów. A tego nie lubią nawet działacze sportowi. Uznają oni starą zasadę, że opinia powinna o działaczach mówić dobrze, albo wcale.

I na zakończenie przekazuję informację na odpowiedzialność Ryszarda Niemca, który tak napisał w krakowskim „Tempie' z 27 lipca 1981 roku:

„Zagorzały dziennikarzożerca Zdzisław Grudzień, przedmiot opisów także „Startów i falstartów" (cykliczny felieton R. Niemca w „Tempie" — przyp. B. M.), zadebiutował jako czołowy zawodnik w grze sportowo-rozrywkowej nazwanej „salonowcem" lub „dupakiem". Stało się to wbrew jego woli na ulicach najbardziej śląskiego ze śląskich miast: człowiekowi zdjęto spodnie i spuszczono manto. Ktoś beknie za chuligaństwo, ale może liczyć na sympatię ogółu, bo protestował przeciwko uchylaniu beknięcia Grudnia".

A więc jednak coś się dzieje.

BOGDA MADEJ

ŚWIAT Z BOKU

SZANSA

Odnoszę wrażenie, że życie bez głupoty byłoby zbyt piękne, dlatego głupota jest, ma się dobrze i działa nam wszystkim na nerwy. Oczywiście nie każda. Gdyby tak było, szybko byśmy ją zwalczyli. Ściślej mówiąc — irytuje nas głupota innych ludzi, rzadko własna.

Przed kilku laty głęboki niesmak wywołał we mnie rysunek ryby, która stała na ogonie i mówiła do kucharza: „Bardzo to podoba mi się, ze masz ryby w jadłospisie". W innym znów miejscu kaczka zachęcała do jedzenia drobiu. Jest to zupełnie bezpodstawne pomawianie tej zwierzyny o głupotę. Z doświadczenia wiem, że ryby nie są samobójczyniami i nie chcą połykać gołego haczyka, a kaczki uciekają widząc rękę z nożem i miskę na krew. Prawdopodobnie autorzy tych pomysłów lepiej znają ludzi niż zwierzęta i stąd pomyłka.

No bo przecież ludzi o zapędach samobójczych nie brak. To oni wydawali decyzje dorównujące niejednokrotnie swą absurdalnością sytuacji przedstawionej przez Mrożka na rysunku „Wodowanie budynku mieszkalnego", oni skandowali znane nazwiska i z zapałem klaskali w ręce, kiedy kraj znajdował się już nad brzegiem przepaści. To samobójcy przy tak katastrofalnym braku wielu artykułów marnują surowce, a potem w jakiś cudowny sposób pokonują trudności transportowe i wywożą na wysypiska śmieci żywność, obuwie i inne rzeczy, o których marzą tysiące klientów (o ile mi wiadomo — tak kiedyś robili kapitaliści, jeśli mieli nadwyżki towarowe, a więc jakieś pozory sensu w tym były. My jednak znajdujemy się w nieco innej sytuacji). Przerażenie i litość ogarnia człowieka, kiedy słyszy i czyta o głodzeniu na śmierć lub topieniu w gnojówce zwierząt, które mogą nam „dać' mleko, schab, boczek, giczki itp. dobra. Nierzadko spotykamy się ze świadomym niszczeniem materiałów budowlanych i urządzeń podczas transportu i rozładunku; do tego dochodzi złośliwe demolowanie wagonów kolejowych, budek telefonicznych itd., itd.

By uniknąć zbiorowego samobójstwa nie wystarczy jednak nie szkodzić. Trzeba jeszcze uwolnić hamulce, włączyć napęd i robić to, za co się bierze pieniądze. Pracownicy honoris causa nie poprawią stanu naszej gospodarki. Najwyższy już czas udowodnić, że Polacy nie są żebrakami i producentami kubków z uszkami do wewnątrz, lecz że w sprzyjających warunkach potrafią i chcą dobrze pracować.

Jeszcze coś. Wydaje mi się, że nadszedł czas rozprawienia się ze znienawidzonym przeze mnie, lecz bardzo popularnym w korespondencji dziwolągiem językowym „proszę o odwrotne załatwienie sprawy", „proszę o odwrotne wykonanie pracy" itp. Podejrzewam bowiem, że zwrot ten często bywa traktowany... zbyt dosłownie.

JAN WALEK

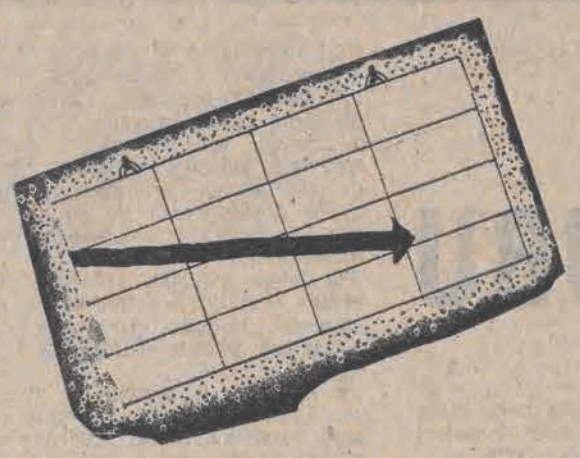

rys. Walerian Domański

Rys. Jan Kilkowski

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP V/ oddział w Warszawie nr 1153-201015-139. prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1643. K-11.